

Biuletyn Z.W. PTTK w Łodzi

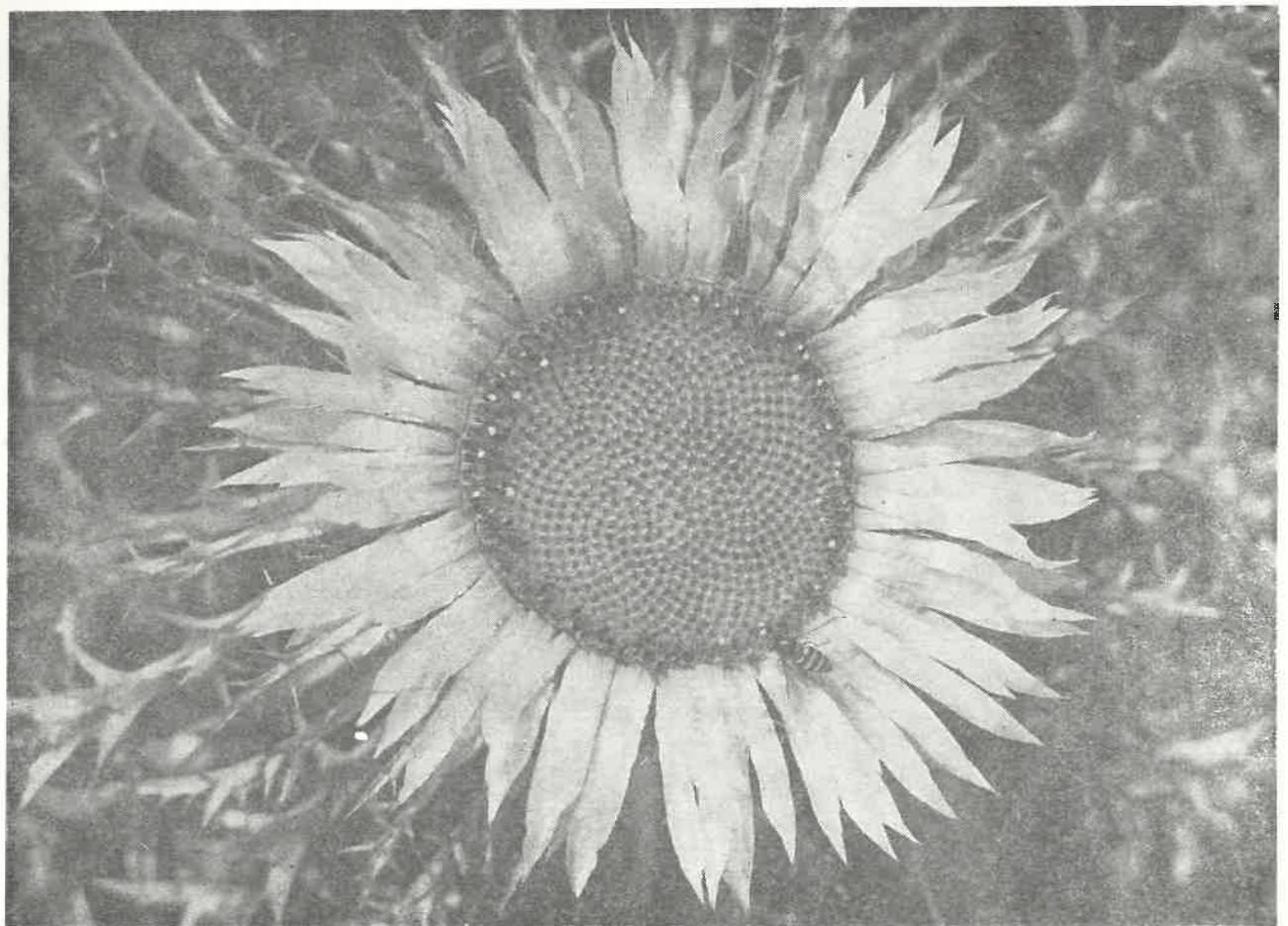
W KIEDRO WYNIK



Rok XXXIV

Lipiec—sierpień 1989

Nr IV (322) 89



DZIEWIĘCSIL BEZŁODYGOWY

fot. B. Bazyliński

Odeszli od nas — JACEK K. CIESIELSKI	3
— WŁADYSŁAW MANDUK	5
Jerzy Urbankiewicz — Co z Piotrkowskiej cz. 11	8
Adam Ochocki — W tej to cukierni staromodnej	10
Anna Sztandynger-Kaliszewicz — Łódź i Iod- dzianie w twórczości Jana Sztandyngera	16
Zbigniew Lipowski — Zielone znaki czasu	21
Grażyna Kobjek — Samuel Hirszenberg — Za- pomniany artysta łódzki	25
Bogdan Przedecki — Do redakcji „Wędrownika”	31
Stanisław Bulkiewicz — Odznaka „Inwalidy Wojennego” z getta łódzkiego	32
Trasa dla Ciebie — Zbigniew Parafianowicz — Przez Wysoczyznę Rawską od Krosnowej do Białynina	34
Przemysław Jędraski — Łódzki Oddział Biura Turystyki Zagranicznej PTTK	36
Jerzy Swierczyński — VII Tydzień Gór — Lemkowie	37

BIULETYN PTTK „WĘDROWNIK” jest
wspólnym organem Zarządu Wojewódzkiego,
Oddziałów, Komisji, Klubów i Kół PTTK.



Wydaje Zarząd Wojewódzki PTTK w Łodzi.



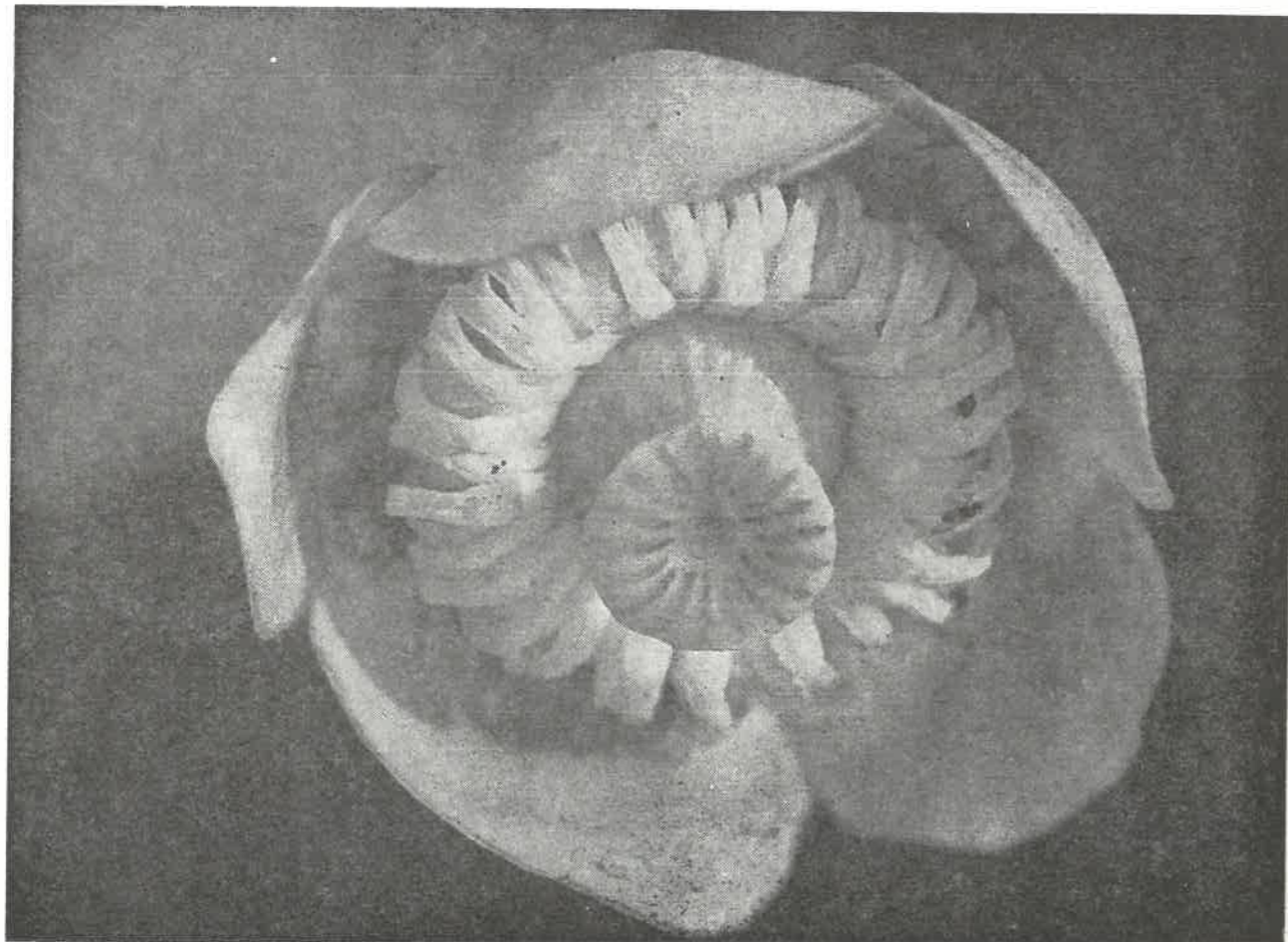
Adres Redakcji: ul. Wigury 12a 90-301 Łódź,
tel. 36-43-70



Redaguje Komitet w składzie: **Bohdan Bazy-
liński, Adam Chyżewski, Jacek K. Ciesielski**
(Sekretarz Redakcji), Zbigniew Lipowski, Ma-
ciej Mamiński, Leonard Matuszewski, Anna
Pilarska (Redaktor Naczelny) i Stefan Zwie-
rzyński (Redaktor Techniczny)

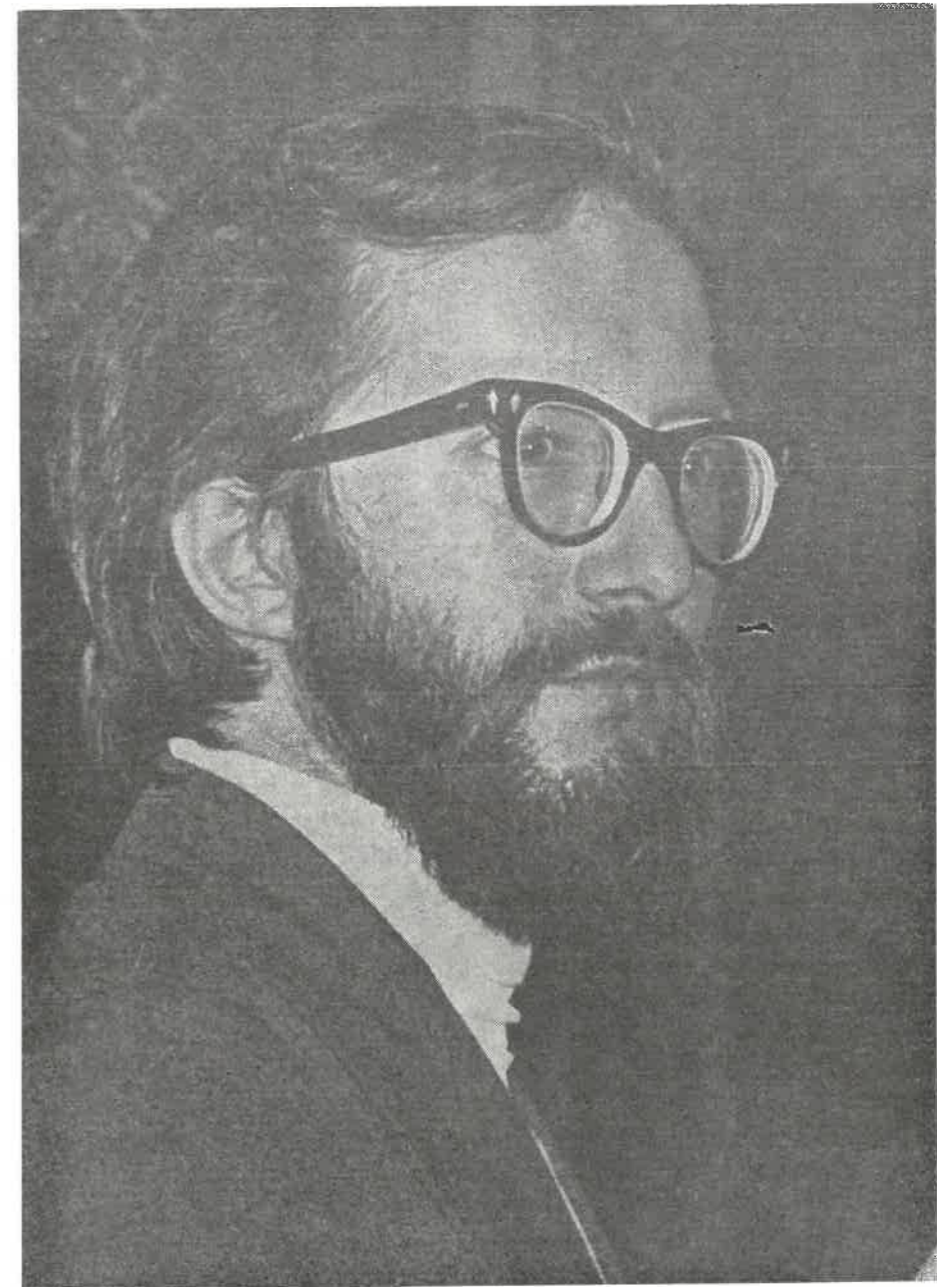


Numer zamknięto w listopadzie 1988 r.



GRAŻEL ŻÓLTY

fot. B. Bazyliński



JACEK K. CIESIELSKI

fot. B. Bazyliński

Dnia 11 sierpnia 1989 roku pożegnaliśmy z wielkim żalem i sumtkiem naszego Kolegę, sekretarza redakcji „Wędrownika” JACKA CIESIELSKIEGO.

Trudno jest pisać i myśleć o JACKU w czasie przeszłym, ponieważ nie można się pogodzić z myślą, że nie ma Go wśród nas, że odszedł tak niespodziewanie, tragicznie. Odszedł w chwili, kiedy razem udało się nam nadrobić prawie dwuletnie zaległości w wydawaniu czasopisma i zyskać wielu dobrych, cenionych autorów.

JACEK z „Biuletynem ZW PTTK w Łodzi” związany był od kilkunastu lat. Przez wiele z nich najstarsze czasopismo turystyczno-krajoznawcze w kraju ukazywało się dzięki JACKOWI. Jego ambicją było, by publikowane artykuły stanowiły dobry merytorycznie i ciekawy dla czytelnika materiał poznawczy oraz dokumentowały działalność PTTK w Łodzi. JACEK doskonale pamiętał wszystkie artykuły i zdjęcia, które ukazywały się od początku wydawnictwa, co znacznie ułatwiało pracę redakcji przy wyborze materiałów do następnych

numerów „Biuletyn”, późniejszy „Wędrownik” był zawsze pasją JACKA. Z wykształcenia polonista, świetnie znał się na sprawach redakcyjnych. Wielki miłośnik literatury pięknej i książek krajoznawczych, nie przyjmował artykułów publikowanych w różnych wydawnictwach, przepisywanych dosłownie z różnych źródeł, niewiele mówiących, czym naraził się niejednemu autorowi. Z wielką cierpliwością i starannością natomiast zawsze dokonywał korekt w materiałach ciekawych, odkrywczych, godnych popularyzacji. Dzięki JACKOWI nasz obecny „Wędrownik” ceniony jest przez czytelników i recenzentów. Nawet przebywając w szpitalu, kiedy wiedział, że składamy numer, dzwonił do mnie wieczorami, żeby coś doradzić i być jednocześnie na bieżąco w sprawach redakcyjnych. Gdy ze Zbyszkim odwiedziliśmy JACKA w kwietniu w szpitalu, marzył nam się inny, bogatszy graficznie i merytorycznie „Wędrownik” podobny do „Krakowa”. Mielśmy tak wiele ambitnych, ciekawych planów związanych z naszym wydawnictwem. Postaramy się kontynuować naszą pracę w redakcji, chociaż na pewno Jacka będzie nam bardzo brakowało, Jego wiedzy, wielkiego zaangażowania, doświadczenia.

Kiedy w związku ze znacznym wzrostem kosztów ostatnich numerów razem z prezydium ZW PTTK musieliśmy podjąć decyzję o znacznym zmniejszeniu ilości bezpłatnych egzemplarzy dla działaczy, JACEK nie mógł się z tą decyzją pogodzić. Bardzo głęboko przeżył wysłanie przez nas informacji o wpłaceniu za prenumeratę do dawnych, zasłużonych społecznych opiekunów zabytków, krajoznawców, byłych redaktorów „Biuletynu”. Było to jednak przykrą i dla nas koniecznością. JACEK wyjątkowym szacunkiem i serdecznością obdarzał ludzi starszych. Zawsze miał dla nich czas. Dla turystów-seniorów organizował ciekawe spotkania przy herbatce z przeżościami, dyskusje, wigilie, rocznice. Pamiętał o wszystkich dawnych działaczach PTTK, bardzo bliscy byli Mu opiekunowie zabytków z małych miejscowości i wsi. Gdy któryś z nich umierał, JACEK zawsze jeździł ze sztandarem ZW PTTK na pogrzeb, nawet wtedy, kiedy sam źle się czuł, miał gorączkę, nie zwracając uwagi na zły dojazd czy brzydką pogodę. On zawsze pamiętał o tych, o których już inni zapomnieli. Opracował słownik biograficzny łódzkich działaczy PTTK. Dla wielu turystów, krajoznawców ZW PTTK w Łodzi kojarzył się z osobą

JACKA. On umiał z nimi rozmawiać, wielokrotnie pomagać w różnych życiowych sytuacjach, okazać zainteresowanie i zrozumienie. JACEK nie znosił fałszu, zakłamania, nieuczciwości.

Po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Łódzkim pracował przez 17 lat w PTTK w Łodzi, w Oddziale Łódzkim i w Zarządzie Wojewódzkim, którego pracownikiem był do końca swojego krótkiego życia. Był nie tylko pracownikiem ale i działaczem, który turystyce i krajoznawstwu poświęcał większość swojego wolnego czasu, JACEK był zawsze wierny Polskiemu Towarzystwu Turystyczno-Krajoznawczemu, nie wyobrażał sobie innego miejsca pracy i innego miejsca działalności społecznej.

W czasie powstawania Muzeum Sportu i Turystyki, JACEK z całego kraju przywoził cenne pamiątki i eksponaty.

Miał wielu przyjaciół w całej Polsce. Działał w komisjach Zarządu Głównego PTTK. Popularyzował turystykę i krajoznawstwo szczególnie wśród młodzieży szkolnej i nauczycieli, wierząc, że kto raz pozna smak wędrowania i poznawania kraju, nigdy się go już nie pozbedzie. Organizował rajdy, szczególnie po Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, turnieje turystyczno-krajoznawcze, wycieczki szkoleniowe dla nauczycieli zajmujących się turystyką. Znał świetnie Polskę, trasy przygotowywane przez Niego prowadziły przez miejsca często mało znane, ale godne uwagi. Umiał o każdym obiekcie ciekawie opowiadać, zwracać uwagę na piękno przyrody. Bardzo lubił góry, uwielbiał wędrowki szlakami starych, drewnianych, urokliwych cerkiewek i pełnych zadumy modrzewiowych kościółków.

JACEK kochał dobrą muzykę, teatr, literaturę piękną.

Dzisiaj niestety coraz mniej jest takich autentycznych turystów i krajoznawców, dla których najpiękniejsza jest nasza polska ziemia.

Za pracę społeczną otrzymał wiele odznaczeń resortowych.

Po JACKU została pustka, której nie da się wypełnić i wiara w to, że zostanie w pamięci tych, którzy Go naprawdę znali i cenili.

JACEK został pochowany na cmentarzu parafialnym w Brzezinach koło Łodzi (czwarty grób po lewej stronie za krzyżem).

Anna Pilarska



GRÓB JACKA W BRZEZINACH

fol. B. Bazyliński



WŁADYSŁAW MANDUK

Towarzystwo nasze poniosło niezwykle bolesną stratę. W dniu 18 czerwca 1989 r. zmarł nagle w Londynie

Kolega **WŁADYSŁAW MANDUK**

Człowiek niezwykle szlachetności i skromności, wybitnie zasłużony działacz, Honorowy Członek PTTK.

Urodził się w Warszawie w dniu 30 lipca 1910 roku w inteligentnej rodzinie o wielkich tradycjach społecznikowskich i narodowych (choć „po mieczu” rodzina była pochodzenia greckiego). Z wykształcenia inż. chemik, całe życie zawodowe związany był z przemysłem włókien chemicznych. Z zamiłowania, więcej — z pasji — był turystą „góralem” i krajoznawcą. Członkiem Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego został w 1931 roku w Oddziale Warszawskim. Od wczesnej młodości znał i kochał

góry, w Tatry jeździł często, choć na 1 dzień — opisał taką krótką wycieczkę na łamach naszego Biuletynu. Jeszcze przed wybuchem II wojny zainteresował się taternictwem, ale największe sukcesy w tej dziedzinie i najciekawsze przygody przeżył już po wojnie. W 1945 roku zamieszkał wraz z rodziną w Łodzi i od razu włączył się w prace odradzającego się Oddziału PTT. Od mniej więcej 1947 roku rozpoczął intensywne uprawianie taternictwa. Miał na swym koncie wiele ciekawych i trudnych dróg, m.in. wspólnie z Henrykiem Niedziakiewiczem dokonał pierwszego wejścia wschodnim filarem na Miękuszwiecki Pośredni Wierch. Zdobył uprawnienia instruktora taternictwa, był przez kilka lat przewodniczącym Komisji Taternictwa Łódzkiego Oddziału PTTK, a od 1956 roku, gdy wyodrębnił się Klub Wysokogórski, był jego członkiem zasiadając przez kilka kadencji w zarządzie.

Kolega WŁADYSŁAW MANDUK od 1945 roku nieprzerwanie pełnił w PTT i PTTK różne odpowiedzialne funkcje społeczne. Był do 1950 roku członkiem Zarządu Łódzkiego Oddziału PTT, w 1951 roku został wybrany wiceprezesem pierwszego Zarządu Okręgu PTTK w Łodzi i był nim do 1956 roku, kiedy to objął funkcję prezesa Zarządu Okręgu PTTK, pełnił ją do 1962 roku. W następnych latach był wiceprezesem i do 1985 roku członkiem Zarządu Okręgu i Zarządu Wojewódzkiego PTTK w Łodzi. Od 1953 roku do końca życia był członkiem Zarządu Łódzkiego Oddziału PTTK. Od chwili powstania Komisji Turystyki Górskiej Okręgu PTTK był jej członkiem, a w latach 1964—1966 — przewodniczącym. Przez długie lata był członkiem Terenowego Referatu Weryfikacyjnego GOT, szczególnie zasłużonym przy egzaminowaniu kandydatów na przodowników turystyki górskiej. Swoim taktem, olbrzymią kulturą osobistą, a także wiedzą zachęcał adeptów przodownictwa, uspokajał co bardziej przerażonych ogromem potrzebnych wiadomości i — co chyba najważniejsze — potrafił zawsze wydobyć z egzaminowanego jego najlepsze cechy. Ten jedyny w swoim rodzaju styl egzaminowania zachował także jako wiceprzewodniczący Komisji Egzaminacyjnej dla Przodowników Turystyki Górskiej. Sam uzyskał uprawnienia przodownika w 1953 roku jako jeden z pierwszych w Łodzi. W 1975 roku został mianowany Honorowym Przodownikiem TG.

Przez kilka lat był także przewodniczącym Komisji Krajowej Zarządu Wojewódzkiego PTTK, reaktywował także po długiej przerwie Komisję Historyczną ZW. Był członkiem

Klubu Turystów Górskich „Kosówka”, czynnie uczestniczył w jego pracach.

Gdy w 1976 roku powstała przy Zarządzie Wojewódzkim PTTK Komisja Seniorów, Kolega WŁADYSŁAW MANDUK został jej wiceprzewodniczącym, ale nie ten tytuł stanowi o zupełnie wyjątkowym charakterze Jego działalności. Ponieważ w planach pracy tej Komisji było organizowanie prelekcji krajoznawczych z przeżroczami, Kolega WŁADYSŁAW MANDUK jako pierwszy podjął się przygotowywania i wygłaszania takich ilustrowanych odczytów. Przez 12 lat byliśmy (członkowie Komisji i nieliczni goście) uczestnikami czegoś niebywałego. Tu trzeba przypomnieć, że Kolega WŁADYSŁAW MANDUK zwiedził niemal całą Europę i wiele krajów pozaeuropejskich. Był nietypowym turystą, albo inaczej — był Turystą prawdziwym. Jego głównym i jedynym zajęciem podczas tych podróży było zwiedzanie i fotografowanie. W ten sposób zgromadził olbrzymią „slajdotekę”, w której przeważały prace własne, a z miejsc, gdzie fotografować nie wolno (np. wnętrza katedr, muzeów) — kupowane za „polskie kieszonkowe” gotowe zestawy przeżroczy (na ogół gorszej jakości). Te olbrzymie zbiory były posegregowane, opisane, ułożone w cykle tematyczne. I takie właśnie prelekcje rozpoczął Kolega WŁADYSŁAW MANDUK jesienią 1976 roku. Każdy odczyt trwał około 1,5 — 2 godzin. Zachwycały nas wspaniałe, artystycznie wykonane przeżroczka uwieczniające na barwnej kliszy krajobrazy, zabytki i ich detale, ludzi i mnóstwo ciekawostek z danego zakątka Europy czy świata. W odczuciu wielu osób te formalnie amatorskie prace przewyższały dzieła wielu renomowanych, utytułowanych artystów fotografików. Na pewno dorównywały jakością techniczną i na pewno przewyższały niezwykle darem „wycucia krajoznawczego”. No i rzecz najważniejsza — oprawa słowna tych pokazów. Naprawdę nie jest przesadą wynikającą z charakteru tego tekstu, że były to prelekcje niepowtarzalne. Piszący te słowa słuchał i oglądał wielu znakomitych prelegentów — krajoznawców, najsławniejszych artystów fotografików związanych z naszym Towarzystwem. W pełni doceniając wartość merytoryczną i walory artystyczne tamtych prelekcji, z całą odpowiedzialnością stwierdzam, że prelekcje Kolegi WŁADYSŁAWA MANDUKA miały wymiar szczególny. Łączył On bowiem w sposób mistrzowski wiadomości historyczne, z historii sztuki, historii kultury i obyczajowości omawianego terenu z anegdotą, ciekawostkami krajoznawczymi, a wszystko wypowiedane przepiękną polszczyzną, z wycuciem słuchaczy

(by nie znudzić). Długo będą wszyscy uczestnicy tych zebrań pamiętali prelekcje poświęcone Italii (cykl trwał prawie 2 lata, w tym o samym Rzymie odbyło się kilka prelekcji i nigdy nie nużył), Turcji, Anglii i ostatni, niesety nie dokończony cykl poświęcony Francji, a rozpoczęty „Zamkami nad Loarą”.

W 1986 roku, podczas uroczystego spotkania z okazji 35-lecia PTTK, Kolega WŁADYSŁAW MANDUK wygłosił gawędę historyczną (nie można nazwać tego referatem) poświęconą ludziom i dziejom turystyki i krajoznawstwa w ciągu tych lat. Zebranie materiałów i uporządkowanie tekstu wymagało od Niego olbrzymiej pracy. Do tego należy dodać dziesiątki przeżroczy ilustrujących zagadnienia, wykonywanych przez Niego osobiście. Były to reprodukcje starych zdjęć, dokumentów, odznak itp. Samo zebranie tych materiałów wymagało wielkich zabiegów, nie mówiąc o fotografowaniu, reprodukowaniu, a potem oprawianiu i porządkowaniu. Pamiętamy — wszyscy uczestnicy uroczystości — to wspaniałe wystąpienie.

Kolega WŁADYSŁAW MANDUK — jako jeden z bardzo nielicznych działaczy — doceniał potrzebę spisywania wspomnień, dokumentowania swojej (i nie tylko swojej) działalności turystycznej. Stąd kilkakrotnie mieliśmy zaszczyt na łamach „Wędrownika” drukować Jego ciekawe, barwne, autentyczne wspomnienia. Ostatniego numeru (I-89) z bardzo ciekawym opisem pierwszego w PTTK kursu dla instruktorów taternictwa nie zdążył obejrzeć...

Z dawnym Biuletynem PTTK w Łodzi, obecnym „Wędrownikiem” Kolega WŁADYSŁAW MANDUK był związany od początku. To za Jego kadencji jako prezesa, przy Jego

pełnym poparciem, zaczęło ukazywać się nasze czasopismo. I choć formalnie członkiem redakcji i zastępcą Redaktora Naczelnego był tylko kilka lat, zawsze „Wędrownik” był Mu bliski, a kolejne redakcje zawsze z radością korzystały z jego rad i sugestii.

Długość listy pełnionych przez Kolegę WŁADYSŁAWA MANDUKA funkcji społecznych może sprawiać wrażenie, że były to funkcje tytułarne bądź reprezentacyjne. A tak nie było. Kolega WŁADYSŁAW MANDUK należał do ludzi, którzy wywiązują się z przyjętych zobowiązań do końca, bez „taryfy ulgowej”.

Kolega WŁADYSŁAW MANDUK działał społecznie w turystyce przez pół wieku. Był za tę wielką, autentyczną pracę społeczną wielokrotnie odznaczany i honorowany. Od Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski do zupełnie symbolicznych dyplomów czy listów gratulacyjnych. Zjazd Krajowy PTTK w 1985 roku obdarzył Go najwyższą godnością — tytułem HONOROWEGO CZŁONKA PTTK. Ale miejsca Kolegi WŁADYSŁAWA MANDUKA w naszym Towarzystwie i w naszych sercach nie wyznaczały godności i ordery. To, iż cieszył się najwyższym szacunkiem i serdeczną sympatią wszystkich, którzy z nim współdziałali, którzy Go znali, zawdzięczał przede wszystkim cechom swego charakteru. Za wcześniej dziś na nakreślenie pełnego obrazu, zbyt świeża i bolesna jest Jego strata. Wiemy jedno — był to człowiek niepospolity, wyjątkowej prawości i szlachetności. Pustki, jaką zostawił odchodząc od nas tak nagle nie da się zapełnić.

Jacek K. Ciesielski

Prezydencki fotel, opróżniony przez Aleksego Rzewskiego, Zajął Marian Cynarski. Reprezentował inną orientację polityczną, ale sprawy do załatwienia miał te same, a i działał w identycznych jak poprzednik warunkach. W wyborach zwyciężyły wtedy zablokowane partie Chrześcijańska Jedność Narodowa, popularnie nazywana „Chjena” i Narodowa Partia Robotnicza. Rzecz jasna — wszystkie partie zapowiadały natychmiastową zmianę na lepsze, ale wyprowadzenie Łodzi i Polski z powojennych trudności — wymagało lat. Wybory odbyły się w marcu 1923 roku. W tymże miesiącu ceny artykułów powszechnego użytku skoczyły o 44 procent. Robotnicy wielu fabryk zaprotestowali strajkami. W prasie ogłoszono hasło aktualne nie tylko wtedy: „Bez dewiz nie może być surowców, a bez surowców pracy”. Być może w związku z oczywistością tego hasła policja dokonała w przededniu wyborów obławy na czarnogieldziarzy. Określenie „cinkciarz” nie było wtedy znane. W północnej części Piotrkowskiej, w kawiarniach, bramach i na ulicy aresztowano około stu osób, jak pisała „Republika”: „Podłoga komisariatu usiana była podartymi dowodami osobistymi, weksłami, listami, między którymi znaleziono również 25 dolarów, 100 lei rumuńskich i 10.000 marek niemieckich”. („Republika” z 28 marca 1923 r.). Wtedy nie graniczyliśmy jeszcze z „Enerdowem”, określenie więc „marka niemiecka” było jednoznaczne.

Zaraz po wyborach zatrzymano niektóre fabryki, bowiem robotnice wyrzucały z nich żony policjantów — tytułem represji za bezwzględny stosunek policji do strajkujących i demonstrantów.

Blok zwycięskich partii, jak zresztą wszystkie inne partie i bloki, próbował przyciągnąć wyborców perspektywą zlikwidowania bezrobocia oraz umiejętnością skanalizowania miasta. Jak wiadomo perspektywy te okazały się złudne, miasto biedowało po starym, ale za to wciąż były gotowe hasła do następnych wyborów oraz, że tak powiem, druzgoczące argumenty w namiętnych dyskusjach, czy raczej awanturach, których widownią była sala posiedzeń Rady Miejskiej. Jej gmach przy ulicy Pomorskiej (obecnie Nowotki), w którym jednocześnie mieściło się gimnazjum (obecnie li-

ceum) imienia Emilii Szanieckiej, trząsł się od ustawicznych wrzasków; dość powiedzieć, że czasami policja musiała uspokajać „ojców miasta”. Dochodziło do tego, że publiczność wyrzucała radnych z sali. W czasie jednej z głośniejszych awantur radny Putto wołał: „Niech się klasa uspokoi!”, mając na myśli oczywiście klasę szkolną, a nie społeczną.

W takich warunkach rządził miastem prawnik, do niedawna sędzia Sądu Okręgowego, Marian Cynarski, a okoliczności okazywały się mocniejsze niż jego poczucie prawne i znajomość prawa. Łódź przedwojenna prosperowała głównie dzięki handlowi z Rosją. A teraz — rynek rosyjski nie istniał. Trzeba było doprowadzić do stanu używalności zdewastowane przez Niemców maszyny, sprowadzić surowiec. Interesom miasta nie sprzyjał system podatkowy, przeznaczający większość wpływów do kasy państwowej, gdy miasto musiało przez długie lata zadawalać się kopytkowym i podymnym. Stosunek władz państwowych do potrzeb Łodzi był przy tym niechętny. To właśnie wtedy zrodził się pogląd, że mieszkańcy wszystkich miast polskich są równi, mieszkańcy Łodzi — najmniej równi. Wtedy też stał się w Warszawie modny pogląd o tak zwanym „kompleksie prowincji”. Na kompleks ten choruje każdy, kto w jakiegokolwiek formie protestuje przeciwko dyskryminacji miejscowości nie będącej stolicą.

Przykładem stosunku do Łodzi owych czasów niech będzie historia istniejącego do dziś gmachu sądu przy Placu Dąbrowskiego. O fundusze na budowę sądów zabiegało jednocześnie kilka miast i miasteczek. Władze centralne przyznały na ten cel: dla Tarnowa — 500 tysięcy złotych, dla Rawy Ruskiej — 200 tysięcy, natomiast Łódź i Pieczenizyn otrzymały po 100 tysięcy złotych.

Tak, w wielkim skrócie, wyglądały sprawy tego miasta, kiedy w wyniku wyborów prezydentem został Marian Cynarski.

Był więc sędzią Sądu Okręgowego, toteż do rządzenia miastem wniósł wiele elementów prawniczego myślenia. Ale również — nieco anegdoty. Kiedy objął urządowanie, wezwał do sali Prezydium jedenastu naczelników wydziałów i wygłosił do nich przemówienie, które zaczął od słów:

— Jak panowie wiecie, byłem sędzią do spraw karno-kryminalnych. Znany byłem z su-

rowych wyroków na różnych łapownikach, oprychach i złodziei.

Tu wpadł w zapał oratorski i tak się zagłębił we własną charakterystykę, tak się skoncentrował na przeszłej, groźnej działalności, że stracił kontakt z rzeczywistością. Kiedy go odzyskał i rozejrzał po sali, zobaczył, że z wyjątkiem woźnego, nikogo w niej nie ma. Nieco później, kiedy Cynarski wszedł w normalny tok urzędowania, powstał drobny konflikt pomiędzy dyrektorem Biblioteki Publicznej, Janem Augustyniakiem, a dyrektorem Archiwum, Józefem Raciborskim. Cynarski wezwał ich obu i przeprowadził formalną rozprawę. Udzielał im po kolei głosu, a kiedy się zbliżył do wydania ... wyroku, zadał pytanie, czy poważnione strony chcą się pogodzić. Obu ta procedura tak rozśmieszyła, że bez oporu podali sobie ręce i poszli na kawę. Jeszcze bardziej groteskowo wyglądała sprawa dyscyplinarna jakiegoś urzędnika magistrackiego. Przewodniczył Cynarski. Posłał woźnego po krucyfiks i kazał świadkom przysiąc, że będą mówili prawdę.

Ale warto też przyjrzeć się temu prezydentowi, kiedy występował jako prawdziwy sędzia. Nienawidził socjalistów, a zdarzyło się, że socjalista, aktywny przy tym, późniejszy wiceprezydent, Stanisław Rapalski opublikował artykuł zatytułowany „W obronie upadłej kobiety”. Wystąpił w nim przeciwko samowoli, z jaką policja obyczajowa postępowała wobec prostytutek. Został oskarżony o obrazę władzy. Rapalski z góry wiedział, że materiały sprawy tak zostały przygotowane, że Cynarski wyda wyrok skazujący z całą surowością prawa. Był zwyczaj, że w podobnych i innych sprawach prokurator wzywał oskarżonego i ten składał podpis, że nie oddali się z miejsca zamieszkania do rozprawy. Tym razem podpisu takiego żądał prokurator Karpowicz, a sędzia Cynarski dodatkowo zarządził złożenie kaucji w wysokości 200 tysięcy złotych, albo aresztu. Nikt nie miał wątpliwości co do wyroku. Nadszedł dzień rozprawy, Rapalski został uniewinniony. Po upływie pewnego czasu spotkali się na prywatnym gruncie. Rapalski zapytał Cynarskiego, dlaczego tak postąpił. „Ja pana znałem na dystans, jako diabła — odpowiedział prezydent — ale kiedy przedstawił pan motywy swego postępowania, ruszyło mnie sumienie”.

W odróżnieniu od dzisiejszych posiedzeń sejmku czy rad narodowych, ówczesni posłowie i radni nie używali kartek, a przemawiali, jak to wtedy określono: „ex promptu”. Zwyczajowi temu odpowiadał drugi, ten mianowicie, że audytorium na gorąco komentowało

niektóre fragmenty przemówienia przy pomocy tak zwanych z niemiecka „cwiszenrufów”. „Cwiszenruffy” ubarwiały obrady, czasami bywały bardzo złośliwe lub dowcipne i krążyły później w kuluarach jako anegdoty. Dość trudno jest dziś wygrzebać z pamięci odpowiednio ilustrowany „cwiszenruf”. Ale niejakie pojęcie o tym zjawisku może dać Czytelnikowi następujące wydarzenie. W Warszawie, na posiedzeniu sejmku przemawiał poseł Czuma i w poruszonej przez siebie sprawie wypowiedział się nader kategorycznie i autorytatywnie. W sali ktoś zawołał: „Czuma locuta — causa finita! „Oczywiście wówczas nikomu nie trzeba było tłumaczyć, co to znaczy i dlaczego jest dowcipne. Otóż Cynarski bardzo nie lubił „cwiszenrufów”. Ponieważ zaś wysoko cenił godność swego rządu, to słysząc głosy na sali, wołał: „Cicho! Prezydent mówi!”.

Jako zagorzały wróg socjalistów postawił sobie Cynarski za zadanie „odczervenienie” bibliotek miejskich. Między innymi przyjechał na inspekcję na ulicę Rybną 14, gdzie w lokalu zajmowanym niedawno przez sklep rzeźnika Irena Augustyniakowa prowadziła bibliotekę dla młodzieży. Rybna — to głębokie Bałuty, dzielnica biedna i zacofana. Augustyniakowa ściągала tam dzieci, najpierw starała się zaciekać je jakimś tematem, działając na wyobraźnię słowem, muzyką, czy rysunkiem, a kiedy chciały wiedzieć więcej, podsuwała im książki. Przy bibliotece powstał samorząd dziecięcy, który decydował o różnych sprawach porządkowych. Prezesem samorządu był wówczas chłopiec nazwiskiem Matczyński, który upodobał sobie tę funkcję tak bardzo, że przekupywał dzieci cukierkami i stalówkami, by go ponownie wybierały. Rządził w ten sposób samorządem przez trzy półroczne kadencje, ku niezadowoleniu kierowniczk, która chciała, by jak najwięcej dzieci przeszło tę małą praktykę samorządową. I oto w towarzystwie naczelnika wydziału kultury Jana Waltratusa zjawił się Cynarski. Zapoznał z działalnością biblioteki i nie krył podziwu dla jej szerokiego programu. Wizytę zakończył rozmową z małym Matczyńskim, który opisał mu szczegółowo pracę samorządu. Cynarski zapytał, czy będzie kandydował ponownie. Chłopiec, znając pogląd kierowniczk, wyraził wątpliwość. Prezydent pożegnał się z nim, dodając:

— Życzę ci ponownego wyboru.

— Dziękuję — odparł chłopak — i nawzajem, panie prezydencie.

Niewiadomo, jakie były losy następnych wyborów do samorządu dziecięcego. Cynarski natomiast nie doczekał następnych wyborów do

samorządu miejskiego. Zginął tragicznie krótko przed końcem kadencji.

Szczegóły tego morderstwa Czytelnik znajdzie w książce „Prawie Pitaval” (tegoż autora, WŁ, Łódź 1973). Morderca Adam Walaszczyk, wielokrotnie przychodził do magistratu z prośbą o pracę. Kazano mu napisać podanie. Aby je napisać musiał mieć dwa złote na opłacenie „biura próśb i podań”, a nie miał. Zaczaił się więc w domu, w którym prezydent mieszkał (ulica Andrzeja 4) i zniemacka uderzył go nożem. Wspólnikiem Walaszczyka był niejaki Rydzewski. Ten wykręcił się od stryczka, choć — wydaje się — odegrał niemałą rolę jako inspirator zbrodni.

W tej to cukierni staromodnej

Zatelefonowała pani redaktor Anna Pilarzka z dwumiesięcznika PTTK „Wędrownik”:

— Czytuję w „Odgłosach” pańskie wspomnienia o dawnej Łodzi. Może napisałby pan coś i dla nas? Mija sto lat od powstania cukierni Roszkowskiego, jednej z najstarszych w mieście...

Temat pociągnął mnie. Cukiernia Roszkowskiego, dzisiejsza „Łodzianka” na rogu Piotrkowskiej i Stanisława Moniuszki, do II wojny światowej popularna „Ziemiańska”, przyćmiła sławą wszystkie kawiarnie łódzkie: „Grand-Cafe”, „Esplanadę”, „Europejską”. To przecież w „Ziemiańskiej” spotykali się czołowi przedstawiciele świata kulturalnego Łodzi — aktorzy, malarze, pisarze, dziennikarze, muzycy, osobistości ze środowiska lekarskiego. Tu wymieniano poglądy, tu prowadzono ożywione dyskusje, omawiano doniosłe wydarzenia.

I ja w latach trzydziestych bywałem tam niemal codziennym gościem. Wchodziło się jak dziś wejściem w świątym rogu narożnej kamienicy. Tylko wewnątrz wyglądało nieco inaczej. Po prawej ręce lady z tortami, najrozmaitszymi gatunkami ciast, bombonierkami, czekolada w tabliczkach. Dalej szczyplutkie pomieszczenie z kilkoma stolikami i szatnią na antresoli. Płaszczki i nakrycia głowy zawieszano na spuszczanym z góry kiju, zakończonym hakiem, a pan szatniarz windował je do

Właściwie — tragiczne to wydarzenie wykracza już poza temat książki, bowiem miało miejsce, kiedy Magistrat został już przeniesiony do nowej siedziby, przebudowanej dawnej szkoły realnej, przy Placu Wolności 14. Zmiany miejsca dokonano w roku 1926, w czasie trwania kadencji prezydenta Cynarskiego. Śmierć poniósł w roku następnym.

Opróżniony Ratusz był przez czas jakiś siedzibą Muzeum Sztuki, a następnie Archiwum Miejskiego.

c.d.n.

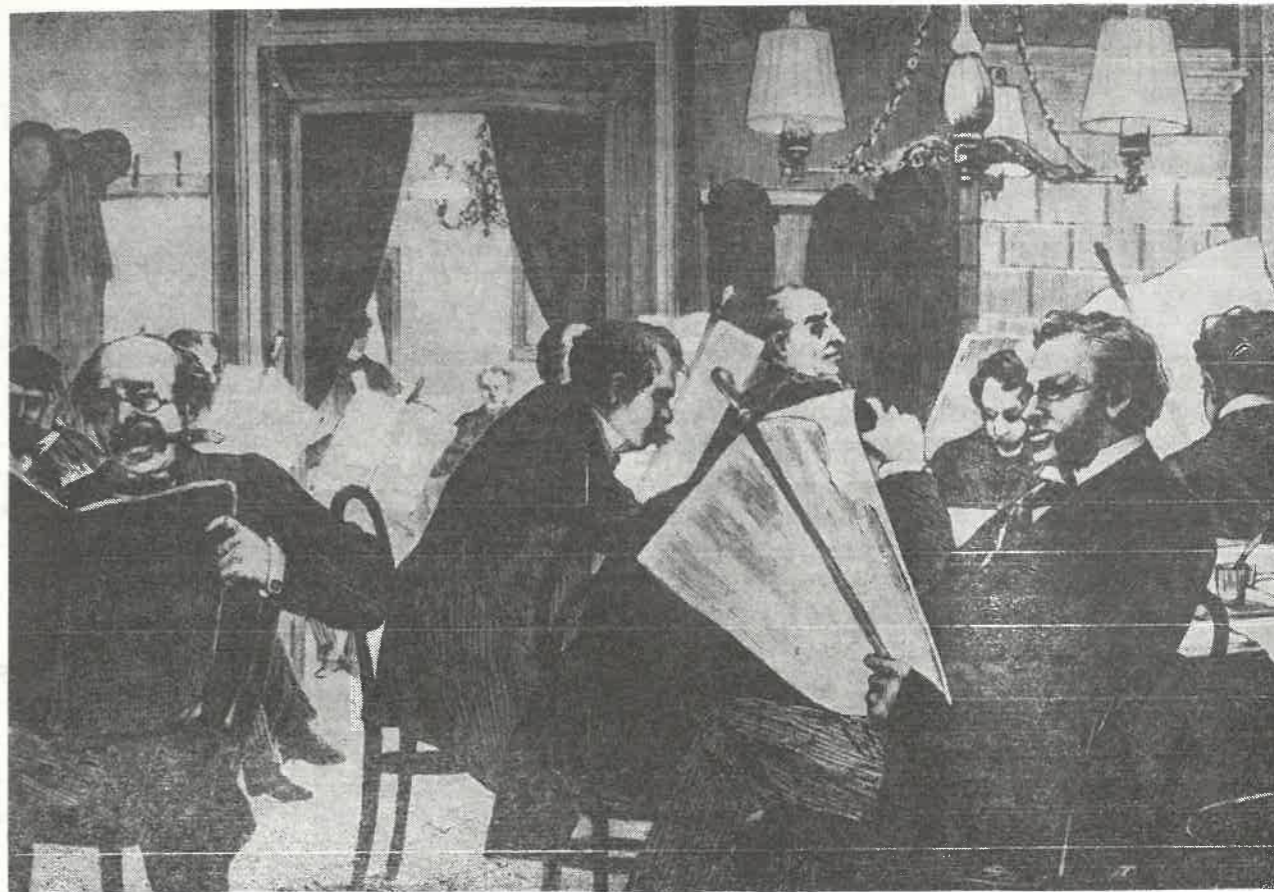
JERZY URBANKIEWICZ

swego królestwa. No i właściwa sala tętniąca gwarem, ściany ozdobione obrazami mistrzów pędzla. Przy fortepianie Witold Elektorowicz śpiewa akompaniując sobie szlagier: „Maleńka, zabrałaś serce mi, maleńka o tobie dusza śni, maleńka” ... A w roku 1937 chór Dana z kruczowłosym Mieczysławem Foggiem...

GOŚCIE SPRZED 100 LAT

Ale cofnijmy się do pradziejów, gdy cukiernią tą władał Aleksander Roszkowski. O samym właścicielu lokalu nic nie wiadomo. Kim był, skąd przybył, jakie miał upodobania. I nie ma już nikogo, kto mógłby coś bliższego o nim powiedzieć. Cukiernia liczy ponad sto lat. Od pierwszego właściciela, pana Raymonda, odkupił ją w roku 1891 Roszkowski i był jej właścicielem — rekord jak na owe czasy — dwadzieścia jeden lat. W roku 1912 pojawił się nowy właściciel, Gostomski, po nim Albrecht, a od Albrechta w roku 1932 „Ziemiańska” — tak brzmiała nowa nazwa — nabył na własność niekoronowany król łódzkich cukierników Józef Piątkowski. Prowadził ją do wybuchu wojny 1939 r. i parę miesięcy po zajęciu miasta przez Niemców.

A więc w ciągu pół wieku słynna cukiernia w pępku miasta pięć razy zmieniała właściciela. Dlatego też nazwisko „Roszkowski” po-



KAWIARNIANI POLITYCY

repr. B. Kaczyńska

stanowiłem potraktować jako hasło wywoławcze do tego artykułu, bo ostatecznie bohaterem nie jest właściciel lokalu, ale sama cukiernia, jej bywalcy, tradycje, atmosfera.

U Roszkowskiego, którego nazwisko na szyldzie zgodnie z obowiązującymi przepisami widniało w dwóch językach: polskim i rosyjskim, jak notują dawne kroniki, często przesiadywał Władysław Reymont, gdy gromadził materiały do „Ziem obiecanej”. Podpatrywał typy i typki łódzkie, ich zachowanie, sposób bycia, a efekty wnikliwych obserwacji znajdujemy na kartach jego arcydzieła literackiego.

Bywali tu i brodaczy kupcy z Saratowa, Penzy, Samary, komiwojażerowie z dalekiej północy. Przyjeżdżali po łódzkie perkaliki cieszące się wielkim popytem w całym imperium rosyjskim.

Ile płaciło się wtedy za pół czarnej? Wykalkulowałem sobie, że nie więcej niż 20, 30 kopiejek. No bo już za rubla można było zjeść w restauracji suty obiad z czterech dań, a w bufecie na dworcu Fabrycznym za 50 kopiejek wypić sto gramów wódki i zakąsić czym popadnie pod rękę — łososiem, kawiosem, pieczoną kurą, czy smażoną rybą.

A jak malowniczo wyglądali goście pana „Roszka”? Wyfioczone elegantki, spięte gor-

setem, cienkie w talii jak osa, w tiurniurach, salopach, sukniach zakrywających kostki, szleszczące jedwabiem, w kapeluszach przypominających gniazda ptasie lub rabatki wielobarwnych kwiatów, w dłoniach lorgnon, przez które taksowały znajome i niezajome siedzące przy sąsiednich stolikach. Panowie we frakach, jaskółkach, tużurkach, spodnie sztuczkowe, to był szczyt mody, w nakrochmalonych koszulach ze sztywnymi, wysokimi kołnierzykami, krępującymi znakomicie poruszanie głową, wąsy, broda, co elegantszy — monokl w oku. Wierzchnie okrycia czekały na nich w szatni — obszerne, trzyćwiertniowe sakpalta w w szkocką kratkę, zimą obowiązkowo futra, cylindry, szapoklaki, meloniki, nieodłączne laski, najchętniej trzciniowe ze srebrną gałką z inicjałami właściciela, kalosze, gdy plucha była na dworze. Czasem trafiał się wśród gości oryginał — facet stylizowany na peleryniarza, w kapeluszu z szerokim rondem zakrywającym twarz, z fantazmem dokoła szyi...

Towarzystwo przyjeżdżało powozami, karetami, czasem zaprzęzonymi i w cztery konie, kto nie miał własnego zaprzęgu korzystał z dorożki. A w roku 1898 ruszyła w mieście komunikacja tramwajowa, wsiadano do „meblowego wozu bez koni”, jak żartobliwie nazywano poruszające się po szynach wehikuly.

Częstym gościem u „Roszka”, a potem u Gostomskiego, był młodzieńcy Julian Tuwim. Rzadko przysiadł się do znajomych. Odstraszalo go rozkrzyczane towarzystwo. Przeważnie samotnie spędzał czas „W tej to cukierni staromodnej, do której i ocean wpełzał” i gdzie „czuły się mity najswobodniej” — jak czytamy w „Kwiatach polskich”. I dalej poeta snuje swe wspomnienia:

(...) Gdy światła gasły, gdy ucichał
Brzęk szklanek, ludzi i talerzy,
Gdy salę już zamiatał Michał
I na stolikach stawiał krzesła,
A jeszcze wołał pan Bolesław:
„Dwie herbat, czarna raz!” — i rzucał
Błaszane na stół kontramarki,
I tym wołaniem swym zakłócał
Szept czuły zakochanej parki
I mój samotny. Ja do ściany.
Samotnie byłem zakochany.
W takie wieczory nieraz zawiął
Po pustej sali gość z zaświatów,
Marą się zjawiał i rozmawiał
Pukaniem w chłodny marmur blatów,
Jak na seansie ... Ja po cichu
Odstukiwałem na stoliku
Sylaby przyszłych poematów (...)

Popularną postacią w cukierni był też przyjaciel poety profesor Feliks Halpern, z zawodu muzyk, kompozytor i muzykolog, najmłodniejszy łódzianin owych czasów. Udzielał lekcji gry fortepianowej w konserwatorium Kijeńskiej w pasażu Meyera (Moniuszki). W jakże doborowym towarzystwie przesiadywał! Rysownik Artur Szyk, artysta o światowej sławie, twórca słynnych „Traktatów kaliskich”, którego miniatury cenione są dziś na wagę złota, redaktor Stanisław Kempner-Chruszczewski-Bal, niezapomniany gawędziarz, Andrzej From-Nullus, poeta i dziennikarz. Nawet sam Artur Rubinstein za każdym pobyt w Łodzi zasiadał przy stoliku z profesorem Halpernerem. Cukiernię znakomity pianista odwiedzał z tym większym sentymentem, że sąsiadowała z domem jego dzieciństwa, Piotrkowska 78 (tu mała dygresja: Artur Rubinstein urodził się w domu na ówczesnej ul. Południowej (Rewolucji 1905), nie dochodząc do Piotrkowskiej).

MUZYK—SATYRYK

Stolik pana Feliksa znajdował się w lewym końcu sali tuż przy WC. Wysiadła wentyla-

cja. Halpern pokręcił się niespokojnie na krześle. Zauważył to właściciel lokalu — Roszkowski, Gostromski? — i podbiegł w lansadach.

— Stało się coś, panie profesorze?

— Tu strasznie śmierdzi.

— Zaraz to naprawimy! — gospodarz pchnął kelnera do kinoteatru „Casino” po przeciwległej stronie ulicy. W kinie po każdym seansie starszy bileter odświeżał powietrze rozpylając w sali podobnym do „Flitu” aparatem „wodą leśną”. Kelner wypożyczył ów magiczny przyrząd, a cukiernik własnoręcznie zrosił orzeźwiająco „wodą leśną” powietrze nad głową malkontenta.

— Teraz lepiej?

— Teraz — odparł pan Feliks pociągając nosem — pachnie tu, jakby ktoś rozdeptał g... w lesie.

— Jak pan śmie tak się wyrażać w miejscu publicznym! — oburzył się jakiś pięknoduch przy sąsiednim stoliku.

— Niech pan spróbuje przełknąć to słowo — poradził kpiarz i wrócił do przerwanej rozmowy.

Przy stoliku pana Feliksa siadywali też lekarze, którzy mając dużą praktykę prywatną, znikomą ilość godzin przeznaczali na lecznictwo społeczne (skąd my to znamy?). Do „Roszka”, potem do Gostomskiego, wpadali w określonym celu. „Jak dziś stoją Starachowice”? „Jak Pożyczka Konwersyjna?”. „Jak listy zimskie dolarowe?”. „A łódzkie listy zastawne?” Pan Feliks grał na pianinie, nie na giełdzie, mierzyły go te rozmowy. W przerwie między jedną a drugą informacją o aktualnych kursach akcji zagadnął lekarz koleżę:

— Nie wie pan, kiedy Kasa Chorych będzie płacić za wizyty domowe?

— Pojutrze.

Na to Halpern z ulgą:

— Uff... Nareszcie w tym towarzystwie słyszę coś o medycynie!

O owej Kasie Chorych, słynącej z nie najlepszej opieki lekarskiej, pianista-satyryk ukuł znakomitą parafrazę. Kolektura Jerzego Wolanowa na Piotrkowskiej 11 i 72 wabiły przechodniów hasłem: „Szukasz szczęścia, wstąp na chwilę!”. Pan Feliks zaproponował dla Kasy Chorych: „Szukasz śmierci, wstąp na chwilę!” — i już nazajutrz zaśmiewano się z tego powiedzonka, wędrującego z ust do ust.

Mało kto wie, nawet najstarsi łódzianie, że to właśnie profesor Halpern jest autorem muzyki do przebojowego w owych czasach utworu „Czarna Mańka”, do którego słowa napisał Czesław Gumkowski, znakomity publicysta, redaktor naczelny „Kuriera Łódzkiego”. Szefostwo tej popularnej gazety objął on w roku 1920 po Lucjanie Dąbrowskim, założycielu i pierwszym prezesie Syndykatu Dziennikarzy Łódzkich — i po nim, do wojny, stał na czele tej organizacji.

Na Czerniakowskiej, Górnej, na Woli,
W ciemnych spelunkach, gdzie życie wre,
Hej! Tam w kompanii, często do woli,
Noc całą Mańka bawiła się...

— brzmi pierwsza zwrotka znakomitego pastizu, wzorowanego na popularnych w owym czasie piosenkach podwórzowych. Utwór powstał w roku 1917 i już po paru tygodniach wykonywał go z powodzeniem na deskach warszawskiego kabaretu „Miraż” Karol Hanusz. Rok później piosenka doczekała się wydania nutowego przez firmę B. Rudzki (ojciec znakomitego aktora Kazimierza) — i wtedy rozpoczęła się jej oszałamiająca kariera. Po 66 latach „Czarna Mańka” przeżyła drugą młodość. Była wiodącą piosenką wodewilu pod tymże tytułem pióra Jerzego Lutowskiego i Jerzego Waldorffa. Spektakl wystawiony przez warszawską „Syrenę” w roku 1984 cieszył się niesłabnącym powodzeniem. „Czarna Mańka” znowu wyszła na ulicę. Śpiewały ją prawnuczki, praprawnuczki i prapraprawnuczki dawnych wielbicielki i wielbiciele panów Czesława i Feliksa.

Z owych to czasów zachowało się kapitalne powiedzonko profesora Halperna. Dotyczyło jego współnika, Czesława Gumowskiego, któremu nawał zajęć zawodowych i społecznych nie przeszkadzał w pełnieniu dodatkowych funkcji... ojca chrzestnego. Dziwne to były obrządki. Wbrew przyjętym zwyczajom, chrześniaków pan Czesław nie brał na ręce, byłoby to o tyle trudne, że każdy z nich ważył po kilkadziesiąt kilogramów. Z prośbą o ojcostwo chrzestne zwracali się do redaktora nie rodzice lecz sami chrześniacy, panowie w wieku dojrzałym, którzy wyrazili chęć zmiany wyznania moźjeszowego na wiarę chrześcijańską, czyli tzw. mechesi. Pępkowe oblewano tradycyjnie w restauracji „Tivoli”, a jednym z klientów Gumowskiego był niejaki Rotenfisch, tata osławionej Aliny Grabowskiej z rozgłośni radiowej „Wolna Europa”. Pan Feliks nie ucze-

stniżył w tych obrzędach, ale ochrzcił je po swojemu: chrzty poziome i pionowe. Poziome, gdy chrześniaka podaje się, pionowe — gdy chrześniak na własnych nogach staje przed „księdzem”.

Osobie profesora Halpera, stałego bywalca najpopularniejszej cukierni łódzkiej, poświęciłem sporo miejsca w trzecim tomiku moich wspomnień pt. „Erika zdradza tajemnice”, który ma się ukazać w końcu br. Pan Feliks zginął w getcie łódzkim. Pozostały po nim żywe wspomnienia. Za każdym razem, gdy słyszę pierwsze takty piosenki „Na Czerniakowskiej, Górnej, na Woli”, staje mi przed oczyma charakterystyczna postać pana profesora, zawsze elegancko ubranego, gładko wygolonego, uprzejmego dla wszystkich...

Najstarsza łódzka cukiernia

Do dawnej cukierni „Roszka” jeszcze wrócimy. Najpierw jednak wsiądźmy w wehikuł czasu, cofnijmy się prawie o dwa wieki, by opisać najstarszą łódzką cukiernię, której dzieje spletały się po latach nierozzerwalnie z ostatnim właścicielem „Ziemiańskiej”, z dzisiejszą „Łódzianką” na rogu Piotrkowskiej i Moniuszki.

Pierwsza w naszym mieście cukiernia otworzyła podwoje na Nowym Rynku (Plac Wolności) w domu pod numerem 4, u zbiegu ówczesnego Traktu Konstantynowego (później: Konstantynowska, 11 Listopada, Obrońców Stalingradu, a więc po roku 1815, Założył ją pan Vögellii, Szwajcar z pochodzenia, i jak się to wówczas praktykowało nazwał swą cukiernię z cudzoziemską „Confiserie”. Polska stała się w XVIII i XIX wieku terenem ekspansji cukierników pochodzenia cudzoziemskiego. Przeważali Szwajcarzy i Włosi, a najbardziej upodobali sobie Warszawę: Semadeni (miał też cukiernię w Łomży, Laurse, Carolli Ferraro, Alberti, Oglietti — długa była ich lista).

Lokal Vögelli'ego też przechodził z rąk do rąk. Nie udało mu się ustalić nazwiska kolejnych właścicieli, wiadomo natomiast, że w czasie powstania styczniowego 1863 cukiernią władał niejaki Szwetysz. Informację tę zaczerpnąłem z książki Jerzego Urbankiewicza pt. „Sukiennice nad Łódką”. Autor powołując się na Alfonsa Paczewskiego „Powstanie styczniowe w okolicach Łodzi” (Rocznik PTH, Łódź 1935) przytacza następujący fragment:

„Matka i w ogóle rodziny więźniów politycznych (...) zatrzymywały się dla obiadów w cukierni Szwetysza na Rynku, w domu na-bożnym, gdzie wpadała ulica i droga do Kon-

stantynowa. Oboje małżonkowie Szwetyszowie robili wrażenie bardzo sympatyczne, ludzi zupełnie spolonizowanych i dla sprawy powstania życzliwych. U nich mówiono i dowiadzano się o Bremsenie, o rosyjskim zarządzie wojennym, o przyszłych losach uwięzionych”.

Po powstaniu Szwetysz pod presją władz zmienił nazwę swego lokalu na „Konditorkowa”. Minęło kilkanaście lat. Kolejnymi właścicielami najstarszej łódzkiej cukierni zostali panowie Konrad, Walkowski, Klotz. Aż w roku 1908 na szyldzie pojawiło się nazwisko Józefa Piątkowskiego, który nie wypuścił z rąk lokalu do samej wojny i szybko zdobył sobie miano „króla cukierników”.



JÓZEF PIĄTKOWSKI

repr. B. Kaczyńska

Józef Piątkowski, zwany „łódzkim Bliklem” z racji rozmachu i inicjatywy, jakie przejawiał legendarny warszawski cukiernik, położył wielkie zasługi w rozwoju cukiernictwa w naszym mieście. Z pochodzenia zgierzanin nauki w swym zawodzie pobierał u najrozmaitszych mistrzów sztuki cukierniczej w Hamburgu, po czym powrócił do kraju. Jako teren swej działalności obrał Łódź i Pabianice. W krótkim stosunkowo czasie stał się właści-

ciem trzech cukierni łódzkich i jednej w Pabianicach przy ul. Zamkowej 7. Po dwudziestu latach od przejęcia cukierni na Placu Wolności odkupił w roku 1928 cukiernię Tadeusza Szaniawskiego na rogu Piotrkowskiej i Nawrotu (dziesięjsza „Akademicka”), następnie w roku 1932 od Albrechta „Ziemiańską”, która dzięki jego energii i przedsiębiorczości stała się centralnym tego rodzaju lokalem w Łodzi.

Córka „króla cukierników” wspomina...

Odszukałem córkę p. Piątkowskiego — panią Marię Piątkowską-Turkiewicz, wdowę po moim koledze redakcyjnym Karolu. Chętnie podzieliła się ze mną wspomnieniami.

— Ojciec w trosce o bywalców uruchomił jak na owe czasy nowoczesną pracownię cukierniczą, która zapewniała stały dopływ ciast, tortów, ciastek do trzech łódzkich i pabianickich cukierni. Pracownia powstała na trzecim podwórzu posesji przy ul. Piotrkowskiej 80, zresztą do dziś tam funkcjonuje. Do wojny ojciec zatrudniał we wszystkich swych placówkach ponad 140 osób, w tym 14 cukierników i tylko dziesięciu pracowników umysłowych. Resztę stanowili kelnerzy, pomoce cukiernicze. Cały zastęp fachowców w tej dziedzinie zawdzięcza memu ojcu zdobycie kwalifikacji zawodowych...

— Czy pamięta pani jacy goście bywali przed wojną w waszych lokalach? Jaki był przekrój społeczny w każdej cukierni?

— Na Placu Wolności przeważali kupcy i przemysłowcy. Poznański, Geyer, Grohman z tych najbardziej znanych. Przesiadывał tam nadkomisarz policji Stanisław Weyer. Na pół czarnej wpadali też aktorzy i aktorki z Teatru Popularnego. W „Ziemiańskiej” schodzili się aktorzy innych scen łódzkich, literaci, dziennikarze, malarze, a w cukierni na Piotrkowskiej 126 przeważali adwokaci, sędziowie, nauczyciele. Stałym gościem bywał tam Wiktor Czajewski, redaktor „Rozwoju”. We wszystkich naszych cukierniach gości obsługiwały ubrani na czarno kelnerzy. Zawód ten sfeminizował się dopiero po drugiej wojnie.

— Przeważnie przesiadywałem w „Ziemiańskiej”, ale czasem zachodziłem też na Plac Wolności. Nęcił mnie bilard...

— Stoły bilardowe i stoliki szachowe znajdowały się na pierwszym piętrze. Na dole kawiarnia, sprzedaż ciastek...

— Pamiętam ich smak. Objadałem się nimi nieprzytomnie w „Ziemiańskiej”.

— Po 25 groszy sztuka. Pączki, eklery, napoleonki, stefanki, minionki nasycone spiry-

tusem lub rumem „Jamajka”, boby czekoladowe, koszyczki, ciastka owocowe z marcepanem i owocami konserwowanymi lub świeżymi — plasterkami pomarańczy, winogronami, wiśniami, truskawkami. Każde ciastko, poza drożdżowymi spoczywało w papilotce, karbowanym papierku, żeby konsument nie brudził sobie palców. Na święta Wielkanocy piekliśmy sękaczki, strucle owocowe. W ciągłej sprzedaży były herbatniki orzechowe, ojciec uruchomił też własną wytwórnę czekolady, stugramowe tabliczki miały wytłoczone inicjały „J.P.”...

— Pączki made in Piątkowski ... Cóż to był za rarytas. Niebo w gębie!

— A czy pan pamięta jaką niespodziankę nasza cukiernia przygotowała na Tłusty Czwartek?

— Oczywiście! Złote monety w co którymś pączku.

— Po raz pierwszy ojciec wprowadził tę inicjatywę w roku 1936. Na każde 500 pączków jeden był nadziany dodatkowo złotą pięciorublowką. W Tłusty Czwartek piekliśmy do 10 tysięcy pączków, a w dni powszednie po tysiąc. Pewnego razu premiowy pączek trafił do rąk naszej ekspedientki, w rok później szczęśliwą nabywczynią okazała się znana aktorka. A, że łakomczuch był z niej niebywały, łapczywie rzuciła się na przysmaki, nagryzła i... złamała ząb. Stratę powetował jej mój ojciec: pokrył koszty dentysty, tak, że mogła w pełni cieszyć się ze zdobycia złotej monety.

— W cukierniach Piątkowskiego poza smakołykami, które pani wyliczyła, można było zjeść również coś konkretnego?

— We wszystkich lokalach serwowaliśmy wiedeńskie śniadania. Na gości czekały: świeże pieczywo z własnego wypieku, solanki, rogaliki, masło, szynka, jaja, konfitury i dżemy. Podobnie wieczorem. Nasze cukiernie były czynne już od siódmej rano. „Ziemiańską” zamykaliśmy o drugiej w nocy, cukiernia na Piotrkowskiej 126 i na Placu Wolności o północy.

Gdy przyszli Niemcy

Puszczam wodze pamięci. Pyszną kawę podawano w „Ziemiańskiej”. Zwykli goście za pół czarnej płacili 50 groszy. Dziennikarze, z którymi pan Piątkowski był zaprzyjaźniony, korzystali ze zniżki. Dostawaliśmy takie bloczki, przy płaceniu odrywało się kuponik, kładło na staliku trzy dychy (groszy!) a kelner usłużnie zapraszał do ponownego odwiedzenia lokalu. Za ciastka też płaciliśmy ulgowo — po 20 groszy.

Gdy wybuchła wojna, pan Piątkowski dał wyraz swym patriotycznym uczuciom. Na placu Wolności przez pierwsze dni września stała firmowa ciężarówka załadowana przysmakami. Oddziały naszych żołnierzyków w drodze na front zatrzymywały się przed samochodem a ekspedientki bezpłatnie wręczały każdemu paczki z ciastkami. Po działaniach wojennych, gdy Niemcy prowadzili do niewoli oddziały polskiego wojska, każdy z jeńców również był bezpłatnie obdarowywany.

Jeszcze trzy miesiące po zajęciu miasta pan Piątkowski prowadził swe cukiernie. Dnia 27 listopada 1939 zarządzeniem okupanta przeszły one w ręce niemieckie, a ich właściciel wraz z rodziną przeniósł się do Żakowic pod Łodzią, gdzie przeżył wojnę. Jego pracownicy cierpliwie czekali na powrót właściciela. I już nazajutrz po wejściu oddziałów radzieckich, w dniu 20 stycznia 1945, pan Piątkowski przy pomocy dawnego personelu uruchomił swe wszystkie cukiernie oraz pracownię przy ul. Piotrkowskiej 80.

— Pamięta pani pierwszych powojennych gości „Ziemiańskiej”?

— Oczywiście. Odwiedzali nas aktorzy z teatru „Syrena”: Stefcia Górka, Stefania Grodzieńska, Danuta Szaflarska, Jerzy Juran-dot, Julian Sztatler, Kazimierz Rudzik. Przy innym stoliku zasiadali Leon Pasternak, Konstanty Gałczyński, aktor Krasnowiecki. Dziennikarze, literaci, ale niestety zabrakło wśród nich wielu, którzy odwiedzali nas przed wojną. Na Placu Wolności jak przed laty można było spotkać przedstawicieli prywatnej inicjatywy, a na rogu Piotrkowskiej i Nawrotu przeważali adwokaci, sędziowie i ... panowie w podeszłym wieku. Nazywaliśmy ich żartobliwie „Klubem byłych mężczyzn”.

Straciła majątek, dostała domiar...

Niedługo dane było Józefowi Piątkowskiemu cieszyć się z odzyskania swych lokali i możliwości wyżycia się w swym umiłowanym zawodzie. Przeżycia wojenne i choroba nadzarpaneły jego zdrowie. W dniu 14 kwietnia 1946 roku król łódzkich cukierników zakończył życie. Schedę przejęła po nim córka, pani Maria. Zrobiła dyplom cukiernika i poprowadziła pracownię na Piotrkowskiej 80 oraz dwie cukiernie: „Ziemiańską” i obecną „Akademiczną” na rogu Piotrkowskiej i Nawrotu. Trzeci lokal na Placu Wolności wydzierżawiono, powstała tam restauracja „Sim”.

Po pięciu latach decyzją władz miejskich wszystkie lokale pani Piątkowskiej przejął oddział gastronomiczny „Społem”. Personel pozostawiono przy pracy, któż by się pozbywał takich fachowców, jedynie córka założyciela i właściciela została bez środków utrzymania. Nie tylko nie otrzymała żadnego odszkodowania za taki majątek, musiała jeszcze zapłacić fiskusowi półtora miliona złotych tytułem domiaru, sumę jak na owe czasy znaczną.

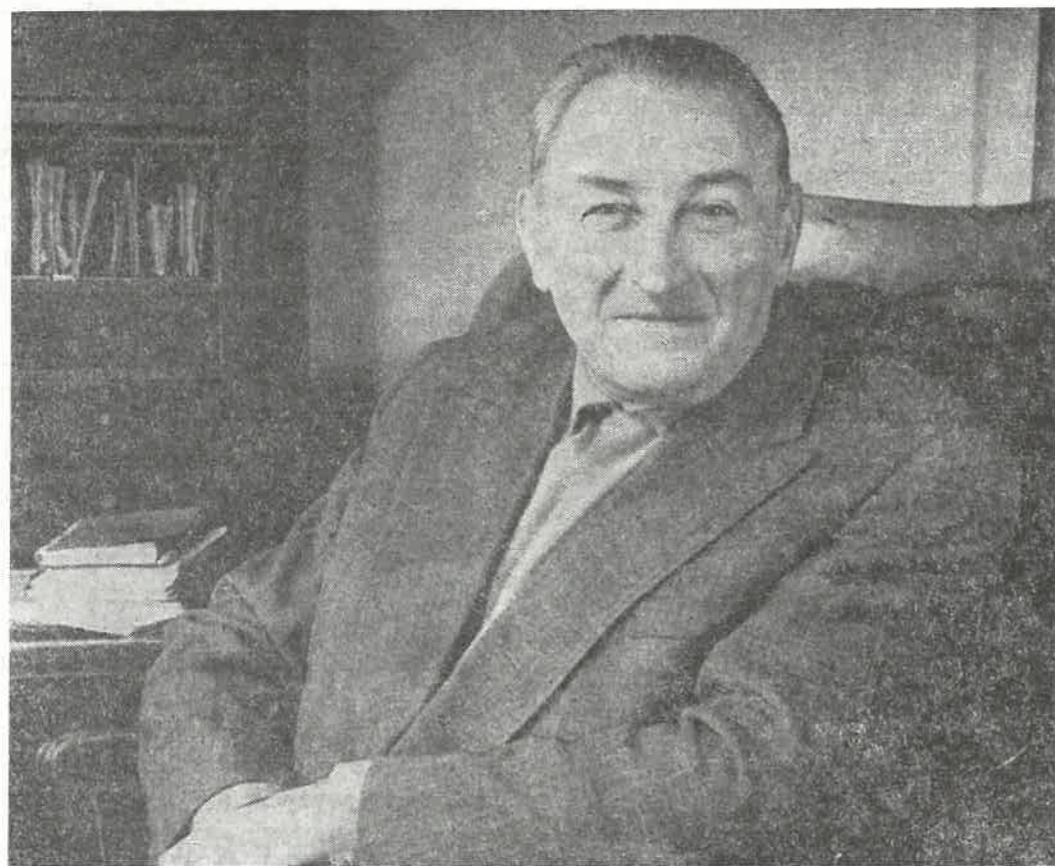
W taki to sposób rozprawiono się w owych pamiętnych latach z prywatną inicjatywą, z

rzemiosłem, kupiectwem. Spytacie co się właściwie zmieniło? Przecież wszystkie owe cukiernie nadal są czynne, tak samo można się tam napić kawy czy herbaty, zjeść ciastka, tak samo jak ongiś posiedzieć, pogawędzić, kupić coś na wynos.

To prawda, ale czy znacie stare przysłowie łacińskie, które mówi, że gdy dwóch robi to samo, to jeszcze nie jest to to samo?...

ADAM OCHOCKI

Łódź i Łodzianie w twórczości Jana Sztaudyngera



JAN SZTAUDYNGER

repr. B. Kaczyńska

Zaraz po wyzwoleniu jesienią 1944 roku Ojciec rozpoczął organizowanie ruchu lalkarskiego w Resorcie Kultury i Sztuki Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego w Lublinie. Utworzył Towarzystwo Przyjaciół Teat-

rów Lalek (15 listopada 1944 roku) i pomagał Bolesławowi Kleniewskiemu zorganizować pierwszy po wyzwoleniu teatr lalek. Mama pracowała w redakcji „Zielonego Sztandaru” pisma Stronnictwa Ludowego.

W lutym 1945 roku redakcja „Zielonego Sztandaru” została przeniesiona do Łodzi. I tak zamieszkaliśmy w Łodzi przy ul. Żwirki 1c m. 6.

Ojciec, w pierwszych latach pracował w Wydziale Kultury i Sztuki Wojewódzkiej Rady Narodowej, a później (1950—1953) redagował z Mamą pismo „Teatr Lalek”. Był to obszerny, około 100 str. liczący, dużego formatu kwartalnik, bogato ilustrowany, informujący o bujnym rozwoju teatrów lalek oraz zajmujący się zarówno teorią ruchu lalkarskiego, jak i sprawami technik lalkowych oraz repertuarem teatrów.

Ojciec szybko zaklimatyzował się w Łodzi i polubił zarówno miasto, jak i większość nowo poznanych ludzi.

Po latach, w niepublikowanym dotychczas fragmencie wspomnień Ojciec pisał: „Jestem człowiekiem szczęśliwym. Los wprawdzie mიაl mnie okrutnie po całej Polsce, ale broniłem się przed nim miłością. Kocham Warszawę, gdzie rodzina moja wypisała sobie tak piękną kartę. Kocham Kraków, który mnie urodził i przez ćwierć wieku szkolił i kołysał. Kocham Poznań, któremu zawdzięczam żonę i córkę. I Łódź, gdzie mi się urodził syn i wnuczka. I gdzie pieczarki zbieram na ulicy Piotrkowskiej...”

Sympatia do Łodzi nie przeszkadzała Tacie w spojrzeniu satyrycznym, pisał:

Jak długo

Jak długo będziemy czuć
Miłość do Łodzi i ... Łódź?

Największa troska

To największą w Łodzi troską,
Aby Łódź całą zmieścić na Piotrkowską

Po remontach tylko fasad kamienia przy Piotrkowskiej pisał:

Na odmalowaną Piotrkowską

Kryć czarne zady w jasne fasady
Oto zasady łódzkiej parady.

O ciągłych zmianach nazw ulic w Łodzi powstała fraszka:

Dusza miasta

Ojcowie miasta,
Pamiętajcie o tym:
Przejazd — Przejazdem,
I Nawrot — Nawrotem.
Te nazwy zmienić się nie mogą
Nigdy i dla nikogo.

Zwalczał palenie i papierosy we fraszce:

Prośba o „Bezdymkę”

Ojcowie miasta (mam trudności z rymem),
Stwórzcie kawiarnię rozwiedzioną z dymem,
Gdzie nas nie zawędzą jak wieprzowe szynki.
Mam dla niej nazwę — czy dobrą?
— „Bezdymkę”!

Ojciec miał łatwość nawiązywania znajomości i przyjaźni. Bardzo szybko zawarł w Łodzi szereg znajomości, które często przerażdały się w przyjaźnie. Wiele z nich utrwalił we fraszkach:

Na Annę Pogonowską

Słuchamy zapatrzeni, patrzymy zasłuchani
Bo takie piękne wiersze i takiej pięknej Ani.

Na Horacego Safrina

Spółdzielnia pracy:
Safrin i Horacy.

Na Dyrektora Postołowa

Fraszek po sto łowie,
Drukuj, Postołowie!

Pan Aleksander Postołow wieloletni dyrektor Wydawnictwa Łódzkiego, po przejściu na wcześniejszą emeryturę w 1968 zaprzyjaźnił się z Ojcem i przez ostatnie dwa lata przyjeżdżał często do nas do Zakopanego. Dorotka moja Córka nazywała go dziadkiem. Wszyscy w naszym domu bardzo lubiliśmy tego pana pełnego delikatności, mądrości, ogromnie wykształconego i odczytanego, z dużym poczuciem humoru.

Malarz Feliks Turski był naszym sąsiadem (mieszkał na ulicy Wigury) i często gry-

wał z Ojcem w szachy. W jednej z dedykacji nawiązał do wybuchowego temperamentu i małych obrazków malowanych przez pana Turskiego:

Awanturski — Miniatorski
Jednym słowem — Feliks Turski

Niezapomnianą postacią był wybitny malarz i zapalony dyskutant Konstanty Mackiewicz. Był on częstym bywalcem Klubu Dziennikarzy i prywatnej kawiarni „Honoratki” przy ulicy Moniuszki. Właśnie w „Honoratce” powstało szereg fraszek o malarzach:

O Konstantym Mackiewiczu

Czym dla Wilna był Mickiewicz
Tym dla Łodzi jest Mackiewicz.

„Honoratka” od roku 1972 stanowiła właściwie klub artystyczny. Dyskutowało się w „Honoratce” o nowościach teatralnych i literackich, omawiało ciekawe filmy i premiery teatralne. Właściciele tej kawiarni, państwo Bruzdzińscy a specjalnie pani Stefania, przyjaźnili się ze stałymi bywalcami. Znali ich zwyczajnie i dogadzali ich zachciankom. Kawa, herbata i napój żurawinowy miały w „Honoratce” smak przepyszny, a o szarlotce i serniku z bitą śmietaną czy torcie, najczęściej mawkowym możnaby, powiedzieć fraszkę:

Kiedy widzę taki tort,
Żałuję, że nie mam trzech mord.

Fraszka ta powstała co prawda na część tortu orzechowego, najlepszego jaki w życiu jadłem — dzieła pani Natalii Boryńcowej żony wybitnego specjalisty „od włókien sztucznych” profesora Politechniki Łódzkiej i wieloletniego dziekana Wydziału Włókienniczego Atanazego Boryńca.

Do „Honoratki” przychodzili ludzie różnych profesji. Obok aktorów i reżyserów, takich jak Roman Polański, widywało się wielu uczonych. Częstymi bywalcami „Honoratki” byli państwo Halina i Jerzy Jaroniowie. On matematyk, profesor Uniwersytetu Łódzkiego, obecnie Politechniką Wrocławską, ona chemiczka. Tomik fraszek „Wiórki” jest dedykowany

Pani Halinie Jaroniowej,
zdradź chemię podłą,
matematykę nikczemną
ze mną
Jan Sztaudynger

Stałym bywalcem „Honoratki” był dystyn-
gowany starszy już wówczas pan, malarz wie-
jskich pejzaży i miłośnik Kazimierza nad Wi-
słą Kazimierz Pieniążek:

Na malarza Pieniążka

Pieniążek to szczęśliwy gość
My wszyscy siebie mamy dość,
A jemu siebie wciąż za mało.
Więcej pieniążków by się zdało.

Inna fraszka do dwóch łódzkich poetów:

Couleur locale

To są kolory łódzkiej liryki,
Sami Czarni i Czerniki.

We fraszce mowa o Stanisławie Czerniku subtelny poecie i człowieku oraz wydawcy który przed wojną redagował „Okolice Poetów”, a po wojnie założył Wydawnictwo Łódzkie i zawsze opiekował się młodymi poetami i pisarzami.

Drugim adresatem fraszki jest Jan Czarny. Ojciec bardzo lubił Czarnego. Często dyskutowali o nowościach artystycznych i spierali się na tematy aktualne i literackie. Czarny był komunistą wrażliwym na nowe kierunki sztuki, a Ojciec piśmudczykiem, odpornym na mody literackie zarówno we własnej twórczości jak i w ocenie utworów innych. Czarny, poeta, satyryk, prozaik i malarz w jednej osobie nie przywiązywał większej wagi do swej twórczości satyrycznej i trochę jakby lekcewał fraszkę jako gatunek literacki, choć sam pisał świetne fraszki i aforyzmy. Obaj byli gwałtowni i dowcipni (także w życiu prywatnym, co nie zawsze jest cechą satyryków), ale w sporach Czarny był zwykle poważny, uparty, a nawet zasadniczy, a Ojciec wesoły, skłonny do paradoksu. To też dyskusje te były niekiedy bardzo ostre i zabawne, bo kiedy Janowi Czarnemu brakowało argumentów irytował się, co Ojca bawiło i często kończył dyskusję fraszką. Jakże żałuję, że nie zapisywałam na go-



PORTRET JANA SZTAUNDYNGERA

repr. B. Kaczyńska

rażo tych sporów. Kilka jednak zapamiętałam. A więc sprawa fraszki jako gatunku literackiego stale powracała w rozmowach. Ojciec upierał się, że im fraszka krótsza tym lepsza, twierdził, że nie obszerność utworu świadczy o jego jakości, ale celowość i dowcip, co zresztą zaraz zilustrował fraszkami:

Słowa kunsztowne, słowa piękne błędna,
Wobec prostego, które trafia w sedno.

W epoce

W epoce płodnej tak w gaduły
Ja fraszką piszę artykuły.

Szumi

Szumi drętwa mowa
Jak muszla klozetowa.

Kiedyś Czarny przeczytał od nowa całego Balzaka, a spotkawszy Ojca na ulicy Piotrkowskiej, bez wstępów i przywitania zawołał — Panie Janie, słowo honoru daję — Balzak to dobry pisarz. Czarny był z wykształcenia plastykiem, Ojciec polonistą, nic więc dziwnego, że tak kategoryczne stwierdzenie oczywistej prawdy, do łez rozbawiło Ojca. I potem, u nas w domu kiedy ktoś otwierał drzwi dawno otwarte — mówiło się: Balzak to dobry pisarz — daję słowo honoru.

Nie mniej, obaj panowie szukali zawsze swego towarzystwa i Ojciec kiedy już na stałe przeprowadził się do Zakopanego, przyjeżdżając do Łodzi zawsze telefonował do Czarnego i umawiali się na rozmowy. Zachowało się kilka książek Ojca z dedykacjami dla Czarnego.

Wydany przez Czytelnik tomik „Krople liryczne” ma dedykację:



TABLICA PAMIĄTKOWA NA ELEWACJI BUDYNKU PRZY UL. ŻWIRKI

fot. B. Bazyliński

Tę garść fraszek, garść przysłowi
Ofiarowuję Jan Janowi...

Janowi Czarnemu

23.XI.1959

Jan Izydor Sztaudynger

Na tomiku *Wiórki* jest Ojca ręką napisane:

Janowi Czarnemu

Czarusiu, czarne w tobie wszystko:
Włos, charakter i nazwisko.

31.V.1966 Łódź

Kiedy po śmierci Ojca miałam kłopoty z uwagami redakcyjnymi do *Chwalipięty* (wspomnień spisanych w ostatnich miesiącach życia Ojca) pan Czarny przez wiele dni czytał ze mną tekst i bardzo mi pomógł zwalczyć ingerencję redakcji. W tym czasie często nas odwiedzał i usiłował mnie pocieszyć po śmierci Ojca. Na imieniny 1972 ofiarował mi książkę, z dedykacją:

Dla kogo Polska?

Nie dla idei

Lecz dla złodziei.

Fraszka ta okazała się tragicznie celna.

Przełom lat 50-tych był dla Ojca bardzo trudny. Przez 7 lat (1947—1954) nie wydał żadnej książki, w 1953 zlikwidowano pismo *Teatr Lalek* i rodzice oboje znaleźli się bez pracy. Te ciężkie doświadczenia nadszarpnęły Ojca zdrowie. Od 1954 roku miał 16 krwotoków żołądka, a w 1960 roku prof. Julian Aleksandrowicz rozpoznał u Ojca czerwienicę, która pomimo intensywnego leczenia przeszła w białaczkę. Jednak jakby na przekór tym doświadczeniom i ciężkim przeżyciom, poczynając od wydanych w 1954 roku *Piórek*, co roku ukazywał się nowy tom fraszek.

Fraszki były pogodne, pełne humoru i świetnie oddawały stosunek Ojca do życia:

Postępek męski

Postępek męski
Z uśmiechem witać kłęski

Od 1961 roku Rodzice przenieśli się ostatecznie do Zakopanego, gdzie pod Skocznia odziedziczyli góralski dom po dziadkach. Ojciec miał jednak nadal silne związki z Łodzią. Właśnie w 1961 roku wydał tom fraszek „Łatki na szachownicy” — poświęcony Łodzi i regionowi łódzkiemu. A w nim wiersz:

Kto Ciebie zna po wierzchu, niedbały
przechodzień
Kto tylko przez Piotrkowską przewleka się
co dzień,
Ten niech nigdy o Tobie nie zabiera głosu,
Bo nie zna Twej zadumy, piękna i patosu.
Topole tutaj pachną pod bokiem kominów.
Mury krwawe (bo ze krwi) biel zdoła
jaśminów.

Jesteś szorstka jak dłoń chłopki
spracowanej,
Ale oczy masz piękne. Więc zbieram
kaształy,

Jakie mi w czapkę moją Twe rzucają
drzewa

I kochając Cię cicho i dyskretnie... śpiewam.

Na domu w którym mieszkaliśmy przy
Żwirki jest teraz tablica na której napisano:

W latach 1945—1961 w tym domu
mieszkał i tworzył

Jan Sztaudynger

1904—1970

Poeta i Fraszkopis

uczył piękna

i radości życia.

Dr ANNA SZTAUDYNGER-KALISZEWICZ

Ekologia a turystyka

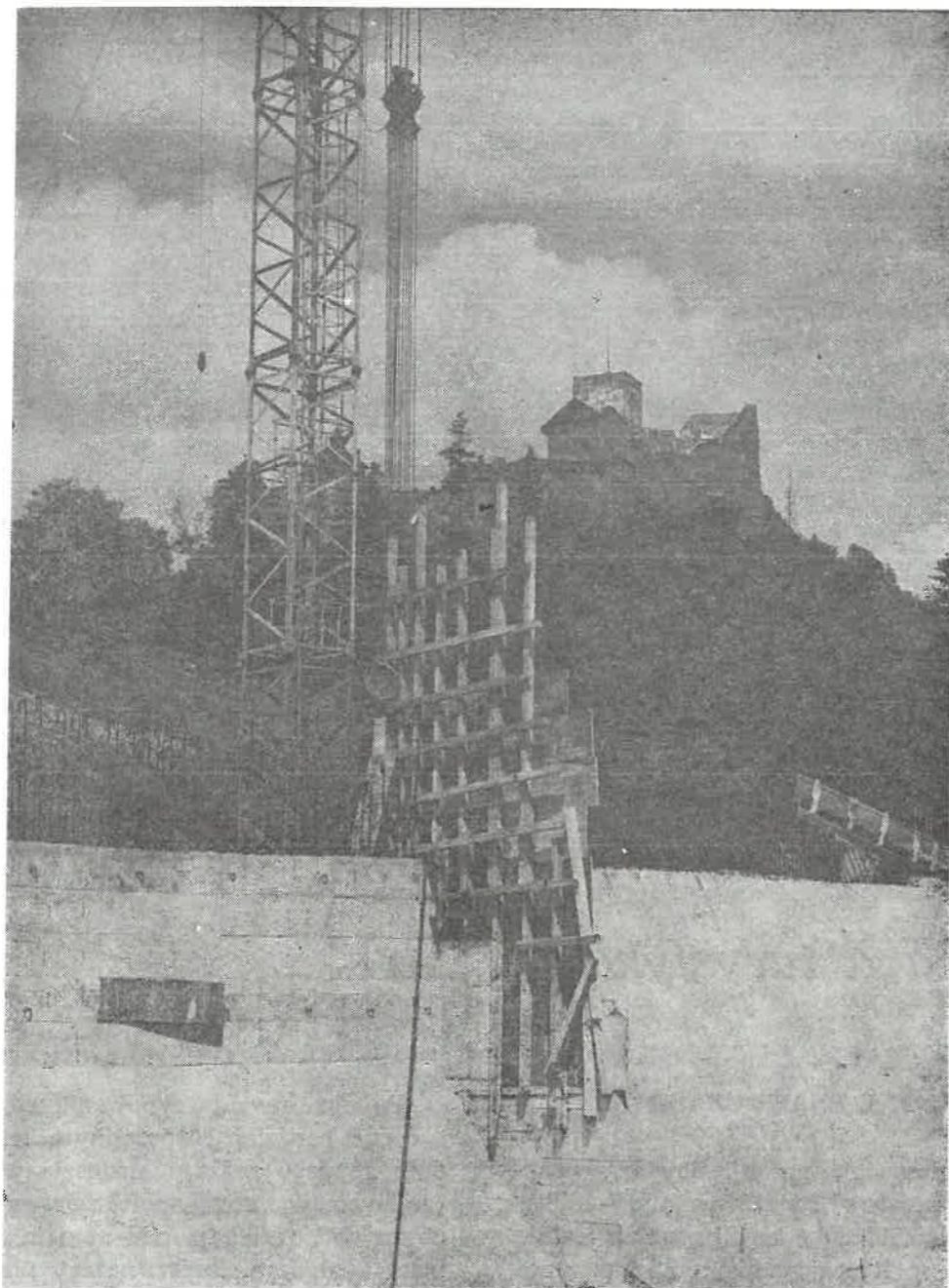
„ZIELONE ZNAKI CZASU”

Proces kolonizacji przez człowieka poszczególnych obszarów świata w myśl biblijnego polecenia: „idźcie i czyńcie sobie ziemię poddaną” był w starożytności czynnikiem niewątpliwie cywilizującym. Nie uświadamiano sobie wówczas ograniczoności fizyczno-przestrzennej Ziemi, gęstość zaludnienia była niewielka, a podbój przyrody — poprzez skazanie rodzaju ludzkiego na walkę z nią — miał wymiar etyczny.

Dzisiaj zdajemy sobie już sprawę nie tylko z rozmiarów Ziemi, ale też i ilości jej zasobów naturalnych a także możliwości absorpcyjnych i regeneracyjnych jej ekosystemów. Człowiek — co w aspekcie historii powszechnej nie pozbawione jest aspektu dramatycznego — poznał również lepiej i samego siebie. Biologia, psychologia i medycyna (nie wyłączając teologii czy metafizyki) udowodniły mu jego złożoność i współzależność, jego szczególne miejsce w planie materialnym jak i duchowym.

Po okresie zafascynowania coraz tańszym i coraz bardziej różnorodnym wytwarzaniem dóbr różnego rodzaju, nadeszła w końcu, początkowo w tzw. „społeczeństwach konsumpcyjnych”, refleksja nad stanem i perspektywami dalszych losów naszej planety. Pojawił się więc imperatyw myślenia globalnego, bowiem transgraniczne zanieczyszczenie wód i powietrza, skażenie środowiska substancjami radioaktywnymi oraz coraz groźniejsze w skutkach klęski ekologiczne zmusiły państwa i ich rządy do ochrony interesów, które okazały się być wspólne.

W tej specyficznej sytuacji pojawia się na świecie nowy nurt ideowy, nowa filozofia myślenia i działania. W 1968 r. w Rzymie, z inicjatywy Włocha — Aurelia Pacci — powołany zostaje „Klub Rzymski” — instytucja złożona z uczonych, przemysłowców i polityków, stawiająca sobie za cel intelektualnie inny od dotychczasowego typ refleksji o człowieku, jego środowisku przyrodniczym i społecznym. Odrzucał on wiele dotychczasowych mitów w myśleniu o kulturze i cywilizacji ludzkiej. Jed-



NIEDZICA — BUDOWA TAMY

fol. B. Bazyliński

nym z nich było głęboko zakorzenione przekonanie, że człowiek ma prawo — w imię rozwoju techniki i komfortu własnej egzystencji — czynić z podporządkowaną mu planetą co mu się żywnie podoba. „Klub Rzymski” zwrócił uwagę, że tzw. postęp techniczny nie zawsze idzie w parze z postępem etycznym i społecznym, a wygoda życia z jego jakością.

Podjęcie systematycznych, globalnych badań w tej dziedzinie możliwe było jednak dopiero w oparciu o dorobek takich nauk jak ogólna teoria systemów, cybernetyka i informatyka. Wymagało też umiejętności myślenia holistycznego, a więc takiego, które uwzględ-

niałoby wszelkie zależności pomiędzy problemami ekonomicznymi, politycznymi, społecznymi, technicznymi, psychologicznymi i kulturowymi nurtującymi cywilizację ludzką w skalę światową. Zgodnie z tymi tendencjami świat nasz powinien być traktowany jako system w którym wzajemne współzależności dotyczą nie tylko jego poszczególnych elementów ale też wszystkich sfer ich funkcjonowania.

Tak więc efektem systemowej analizy dokonanej w oparciu o metody cybernetyczne była dyrektywa, iż człowiek nie może dowolnie podporządkowywać sobie wszystkich ży-

jących istot wyłącznie w imię swych utylitarnych i partykularnych celów. Stanowi to zasadniczy przełom we współczesnej etyce i prowadzić musi do stopniowych przemian także i w moralności. A. Pacceti wyraża to zwięźle w następujący sposób: „... jest obowiązkiem każdego pokolenia zostawić lepszy świat swoim następcom. Zachowanie i szacunek dla wszelkich form życia stanowi zasadniczy warunek jakości i utrzymania ludzkiego życia”.

Myślenie tymi kategoriami tworzy nowy typ humanizmu a w efekcie końcowym inspirować musi nowy rodzaj edukacji oraz taki model polityki, który przezwyciężałby nawyki i tendencje totalistyczne.

Dał temu wyraz ogłoszony równo dwadzieścia lat temu raport ówczesnego Sekretarza Generalnego ONZ U-Thanta pod tytułem: „Problemy środowiska ludzkiego”. Raport składa się ze wstępu, trzech rozdziałów i aneksu. W pierwszych zdaniach wstępu wyrażona jest idea Raportu: „... po raz pierwszy w historii ludzkości pojawił się kryzys o zasięgu ogólnoswiatowym obejmujący zarówno kraje rozwinięte jak i rozwijające się — kryzys ludzkiego środowiska”. Powyższy dokument — bowiem Raport jest świadectwem nowego stanu świadomości — był i jest do tej pory studiowany przez rządy różnych państw i cytowany przez liczne organizacje międzynarodowe. Jego treści omawiano w wielu publikacjach, w radiu i telewizji. Awaria elektrowni atomowej w Czernobylu udowodniła w kilkanaście lat później jak bardzo nowe myślenie, nowa etyka, szczerść, jawność i otwartość działania przywódców państw, potrzebne są światu.

W Polsce, przy całym zapotrzebowaniu i zainteresowaniu — przede wszystkim młodej inteligencji tą problematyką, „Raport” — ani w latach 70-tych ani tym bardziej później nie doczekał się pełnego przekładu, masowego wydania i właściwej popularyzacji w środkach przekazu. Nic dziwnego, czynił bowiem problem zagrożeń środowiska nazbyt jawnym, wyciągał na światło dzienne nadużycia już popelnione, zalecał określone działania zaradcze. Pozbawiał tym samym legitymizmu te władze państwowe, które oszczędzając na ochronie środowiska, forsowały — z różnych zresztą względów — wzrost produkcji przemysłowej a przede wszystkim intensywnej eksploatacji posiadanych zasobów surowców naturalnych. I to jakże często w sytuacji, kiedy wielokrotnie udowodniano ekonomiczny bezsens np. importu węgla zamiast jego produktów pochodnych, czystej miedzi czy siarki.

Za sprawą „Klubu Rzymskiego” i Raportu U-Thanta środowisko przyrodnicze i społeczne

stało się nagle centralnym elementem myśli humanistycznej a także postaw opozycyjnych tak w krajach rozwiniętych jak i rozwijających się. Dotknęło to w szczególności doktrynę przyspieszonej industrializacji i procesy nieokiełznanej urbanizacji tak bardzo zaawansowane w środkowoeuropejskich systemach totalitarnych, które swoje ustroje opierały o określone lobby przemysłowe stanowiące trzon gospodarek państwowych kosztem — jak wiadomo — innych sfer produkcji, przede wszystkim artykułów konsumpcyjnych.

Nowe prądy umysłowe i wyniki badań modeli globalnych początkowo rodziły postawy kontestacyjne wśród młodzieży całego niemal świata wnet jednak wyłaniały z siebie ekspansywne ideologie społeczne określane mianem „zielonych”. Z niepozornych ruchów lokalnych stawiających sobie cele partykularne takie choćby jak protesty przeciwko bazom wojskowym, elektrowniom atomowym czy wysypiskom odpadów radioaktywnych, niepostrzeżenie stały się propagatorami myślenia globalnego, stawały się też wielokrotnie organizacjami politycznymi o atrakcyjnym dla szerokich kręgów programie. Dlatego też ciągle zyskują one coraz większe rzesze zwolenników i coraz więcej miejsca zajmują ich przedstawiciele w rządach i parlamentach. Są więc „zieloni” znakami naszych czasów, stawiają nowe wymagania zarówno rządzącym jak i rządzonym, menagerom życia społecznego i gospodarczego, ekspertom różnych dziedzin i politykom, specjalistom od modelowania ekonomicznego w makro i mikroskali. Ich istnienie nie jest przejawem swoistego fenomenu naszych czasów, cudu narodzin nowego typu wrażliwości człowieka — sumienia ekologicznego.

Na gruncie polskim wiele idei „zielonych” nie jest ani całkiem obcych ani całkiem nowych. Korzeni myślenia ekologicznego doszukać się bowiem można w wielu przejawach postaw patriotycznych będących utrwaloną historycznie reakcją na zagrożoną i unicestwioną państwowość procesy wynaradawiające i przejawy gospodarki rabunkowej. Miały one miejsce zarówno przed powstaniem II Rzeczypospolitej, w czasie II Wojny Światowej a i nierzadko w latach nam współczesnych. Krytyka inwestycji gigantów takich jak Huta Katowice, Port Północny czy Bełchatów towarzyszyła — choć na innej płaszczyźnie — propagandzie sukcesu. Rok 1980 przyniósł w tej dziedzinie prawdziwe trzęsienie ziemi którego skutków nie był w stanie powstrzymać stan wojenny. Dzisiaj już interwencje społeczne są chlebem powszednim funkcjonowania społecz-

nego, zamykane są uciążliwe dla ludzi i zubożcze dla środowiska zakłady, weryfikowane programy gospodarcze, zmieniane lub wstrzymane projekty i plany wielu inwestycji. Powolny i mało efektywny przebieg reformy gospodarczej i politycznej sprawia, że nadal fatalnie wykorzystane są zarówno surowce naturalne jak i zasoby ludzkie, postępuje pauperyzacja inteligencji a stan środowiska pogarsza się z roku na rok. Nic dziwnego, że w tej sytuacji wielu Polaków rezygnuje z pracy i życia w kraju i szuka szczęścia gdzie indziej. W latach 1980—1987 poziom emigracji — co podają źródła rządowe — przewyższył przyrost ludności w wieku produkcyjnym!

Trzeba jednak pamiętać, że równolegle działają w Polsce takie organizacje jak PTTK czy Liga Ochrony Przyrody, wreszcie powołany z inicjatywy Stronnictwa Demokratycznego Klub Ekologiczny, Polska Partia Zielonych czy Franciszkański Ruch Ekologiczny. Mają one na swym koncie szereg sukcesów takich choćmy jak PTTK-owska inicjatywa". Zielone płuca Polski" blokująca planowane przez władze wielkie inwestycje na Mazurach, wycofanie się rządu z transakcji przewozu i składowania w woj. zielonogórskim radioaktywnych odpadów z RFN, budowy kolejnej elektrowni atomowej czy przyspieszenia budowy oczyszczalni ścieków w niektórych aglomeracjach. Jest to jednak kropla w morzu potrzeb a działania te mają charakter wyrwykowy.

W czasach kiedy tak dużo mówi się o edukacji człowieka a szczególnie młodego pokolenia, nie sposób nie zauważyć z jakim opóźnieniem i z jakimi trudnościami przebija się problematyka ekologiczna przez mury konwencjonalnej szkoły polskiej, w jak niewielkim stopniu wprowadza wychowanków i uczniów w świat nowych treści i wartości. W coraz większym stopniu dyskredytowana jest szkoła przez czynniki pozaszkolne nie zawsze będące właściwą bazą do obywatelskiego wychowania. Na tle nowych zjawisk społecznych takich jak ruch ekologiczny czy pacyfistyczny, nasza szkoła stoi z boku i w cieniu zdewaluowanych koncepcji tzw. „moralności socjalistycznej” czy „wychowania socjalistycznego”. Efekty czterdziestoletnich zabiegów w tym zakresie są dzisiaj aż nazbyt widoczne na każdym kroku.

Naprzeciw temu stanowi rzeczy wychodzi — jak się wydaje — ciągle jeszcze turystyka krajoznawcza. Jako taka w społeczeństwach bogatych jest od lat elementem tzw. kultury masowej i swoistym sposobem bycia. Sprzyja temu nie tylko motoryzacja i produkcja wszelkiego rodzaju taniego sprzętu turystycznego

ale cały przemysł turystyczny i swoista moda na rekreację. Wzmacnia to motywacje ekologiczne a ekonomiczne myślenie dawno już wyszło poza doraźne zyski i tanie efekty. Tymczasem u nas, procesy degradacji są bardziej dynamiczne od działań zmierzających do ich powstrzymywania. Równolegle do rozbudowanej bazy wypoczynkowej na Wybrzeżu, zatruwany jest Bałtyk a szczególnie zatoka Gdańska i Pucka, zaszalana ściekami z Górnego Śląska Wisła niszczy instalacje wodociągowe Puław, Warszawy, Płocka i Torunia. Wymierają lasy wokół Azotów w Puławach i Włocławku, giną lasy w Górach Izerskich, chemizacją rolnictwa i spalinami degradowane są uzdrowiska. Okolice Worka Turowskiego, Bytomia, Oświęcimia czy Krakowa są obszarami klęski ekologicznej. Zapora na Dunaju grozi zagładą unikalnych wartości Pienin. A przecież są jeszcze kwaśne deszcze, pyły, azotany i siarkowodory napływające z Europy Zachodniej i z południa. Statystyki rejestrują skracanie się życia mężczyzn, zwiększanie liczby poronień u kobiet, nowe choroby alergiczne i nowotworowe. Coraz mniej zdrowa staje się żywność a woda w wodociągach niezdatna do picia. Kryzys obejmuje już nie tylko istniejącą rzeczywistość ale i przyszłość o niezbędne środki zaradcze. Zmniejsza się relatywnie tempo budowy wielu oczyszczalni ścieków, nie ma pieniędzy na wykorzystywanie zasobów wód termalnych i gazyfikację, zbyt mało w stosunku do potrzeb produkuje się zdrowej żywności i leków.

W sytuacji zagrożenia nie tylko życia biologicznego ale i społecznego, nowego znaczenia nabierają organizacje i ruchy społeczne zaangażowane w procesy przemian, walczące o nie i aktywne intelektualnie. Ekologia, jako nośnik ideowy rozszerzający klasyczne pojęcie ochrony przyrody ze środowiska przyrodniczego na środowisko społeczne i kulturowe człowieka, ma ciągle jeszcze nie wykorzystaną szansę w edukacji narodowej i ruchu turystyczno-krajoznawczym. Czasy zmieniają się tak szybko, że to nie dorośli a młode pokolenie narzuca styl bycia i nowe idee. Tak stało się już w literaturze, muzyce i innych dziedzinach sztuki. O ile nie znajdują dla siebie miejsca w ramach istniejących struktur i organizacji, będą tworzyć własne alternatywy. Dopuścić — młodych do działania, współdecydowania i tworzenia — znaczy dzisiaj ocalić więzy pokoleniowe.

W przeciwieństwie do lat minionych, kiedy to szereg organizacji społecznych odzegno- wało się od polityki, w chwili obecnej jedyną ich szansą jest tożsamość ideowa i zaangażowanie. Odzegno- wanie się od polityki jest rów-

noznaczne z układowaniem się na straconych pozycjach. Konieczność opowiedzenia się po stronie określonych wartości i treści stanowi nie tylko potrzeba chwili ale i imperatyw etyczny.

Turystyka a szczególnie krajoznawstwo zawsze miało koloryt zielonej przyrody i atmosferę wolności. Takim jest w dalszym ciągu w odczuciu wielu ludzi. Prawo do uprawiania turystyki jest częścią ogólnych praw człowieka do życia w pokoju i kształtowania pokoju. Krajoznawstwo i turystyka — jak się wydaje — jest tego kształtowania najwłaściwszą metodą. Bowiem jedynie rzetelna wiedza i osobiste doświadczenie zdobyte poprzez bezpośredni kontakt z rzeczywistością i niesionymi przez nią

Samuel Hirszenberg — zapomniany artysta łódzki

We wrześniu 1988 roku minęła osiemdziesiąta rocznica śmierci jednego z bardziej znanych i cenionych artystów, zaliczanych do grona wybitnych reprezentantów malarstwa polskiego przełomu XIX i XX wieku. Mimo, iż twórca ten był ściśle związany miejscem zamieszkania i swoją działalnością artystyczną ze środowiskiem łódzkim, dziś, poza specjalistami, już tylko nieliczni łodzianie pamiętają o jego twórczości i o nim samym.

Samuel Hirszenberg urodził się 22.XI.1865 roku w Drohobyczu * w Galicji jako najstarszy syn wielodzietnej rodziny pochodzenia żydowskiego. W 1880 roku ukończył czteroletnią naukę w łódzkiej Szkole Rzemiosł. Jego zdolności artystyczne zwróciły uwagę jednego z miejscowych lekarzy, który za zebrane wśród znajomych 25 rubli wysłał 15-letniego Hirszenberga do Warszawy aby kształcił się w dziedzinie malarstwa. Tutaj jednak jego talent nie wzbudził większego zainteresowania i chłopiec zmuszony był wrócić do Łodzi.

W kilka miesięcy później wyjechał do Krakowa i został przyjęty do tamtejszej Szkoły Sztuk Pięknych, gdzie pod kierunkiem Feliksa Szynalewskiego, Izzydora Jabłońskiego i Władysława Łuszczkiewicza w latach 1881—1883

realnymi treściami poznawczymi, daje gwarancję ich pełnej interioryzacji kształtuje trzeźwy i świadomy, oparty o obiektywne wartości patriotyzm.

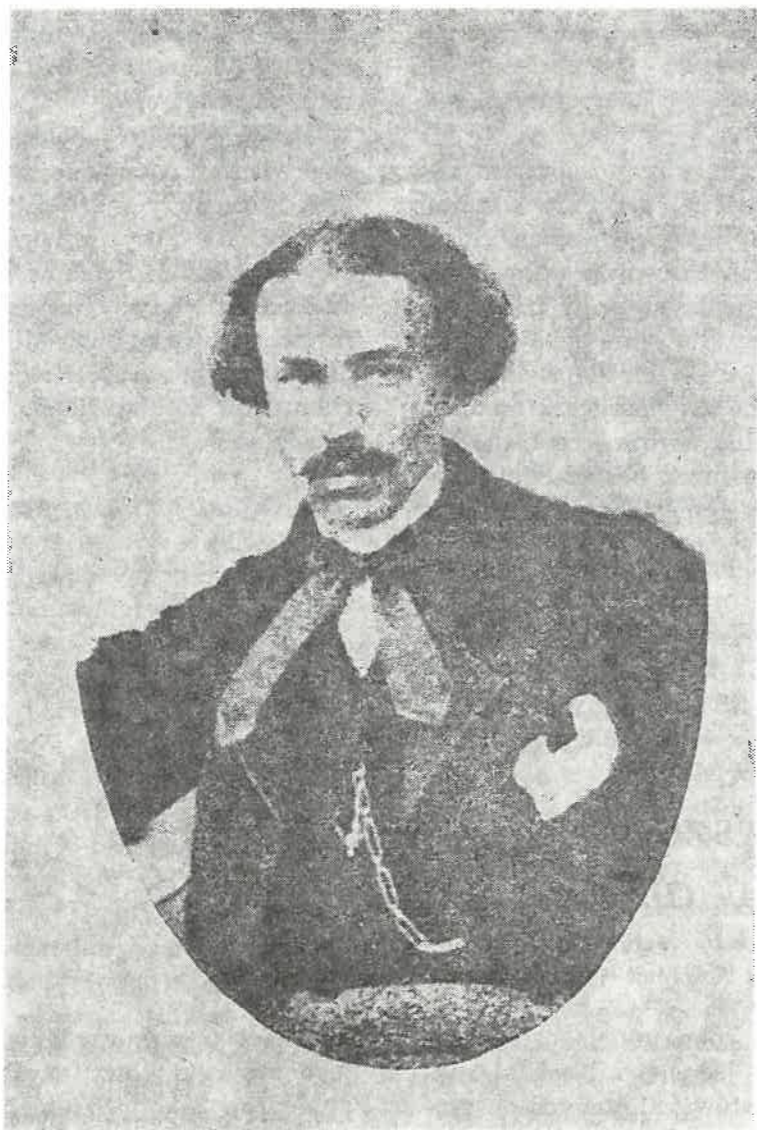
Problematyka społeczno-ekologiczna jest więc dzisiaj najważniejszym nośnikiem tych idei, które przydają blasku takim hasłom jak umiłowanie ojczyzny, praca dla niej i przyszłych pokoleń Polaków. Wymaga to jednak odrzucenia dotychczasowych stereotypów w myśleniu i działaniu. Mijają czasy „pogody” dla działaczy różnych resortów i szczebli. Zachmurzyło się na zielono a znak to odnowy i nadziei...

ZBIGNIEW LIPOWSKI

ukończył trzy kursy akademii. W 1882 roku jego rysunek głowy uzyskał w konkursie dla studentów Szkoły Sztuk Pięknych pierwszą nagrodę. Podczas studiów w tej uczelni zawiązały się też jego przyjaźnie z innymi młodymi artystami, między innymi z Marianem Wawrzeńskim i Stanisławem Dębińskim.

W 1883 roku Hirszenberg rozpoczął pod kierunkiem prof. Aleksandra Wagnera studia malarskie w monachijskiej Akademii Sztuki. W latach 1885—1887 uczęszczał do jego szkoły kompozycyjnej, którą ukończył z odznaczeniem. Ten ważny w jego życiorysie artystycznym wyjazd był możliwy wyłącznie dzięki ofiarom pieniężnym złożonym przez przedstawicieli żydowskiej elity finansowej Łodzi. W ciągu czterech lat przekazali oni na kształcenie młodego malarza w Monachium 1 103 ruble, z których 300 przekazali członkowie rodziny łódzkich fabrykantów — Poznańskich (Izrael i jego synowie Ignacy, Karol i Herman). Wśród mecenasów Hirszenberga znaleźli się między innymi M. Silberstein, W. Ginsberg, S. Rosenblatt, H. Konstadt, A. Prussak.

W czasie pobytu w Niemczech młody artysta zainteresował się filozofią oraz współczesnymi osiągnięciami nauki. Szczególnie wiele



SAMUEL HIRSZENBERG

repr. fot. Ewa Pudaczyk

uwagi poświęcił studiowaniu prac astronomicznych Camille'a Flammariona oraz poznawaniu życiorysów i poglądów wybitnych myślicieli siedemnastowiecznych pochodzenia żydowskiego — Uriela Acosty i Barucha Spinozy. Zainteresowania te nie pozostały bez wpływu na twórczość Hirszenberga — jedne z pierwszych namalowanych w Monachium obrazów przedstawiają obu wielkich filozofów. Pojawiają się wówczas również prace ukazujące wstrząsające warunki życia biedoty żydowskiej. Sam artysta, gdy jego protektorzy łódzcy zaprzestali pomocy finansowej, zmuszony był zrezygnować z kontynuowania studiów w tamtejszej akademii. Przebywając nadal w Monachium żył w skrajnej nędzy i wskutek długich okresów głodowania nabawił się ciężkiej, chronicznej choroby żołądka.

Po raz pierwszy jego prace eksponowane były na wystawach Towarzystwa Zachęty

Sztuk Pięknych w Warszawie w 1885 roku oraz Towarzystwa Popierania Sztuk Pięknych w Krakowie w 1886 roku. Część skromnego jeszcze dorobku artystycznego 20-letniego młodzieńca można było również obejrzeć w tym czasie w jego łódzkim atelier. Miejscowy recenzent donosił: „W pracowni p. Hirszenberga młodego artysty—malarza oglądaliśmy w tych dniach około trzydziestu płócien rozmaitej wielkości. Pomiedzy niemi widzieliśmy wiele szkiców, zapowiadających talent godny poparcia. Postacie charakterystyczne a mianowicie głowy pełne są ekspresji, patrzy się na nie z zajęciem prawdziwym. Panu H. można wróżyć powodzenie niezwykle jako malarzowi portretowemu”.

Pierwsze sukcesy przyniosły Samuelowi Hirszenbergowi wystawy malarskie w Monachium (1887 r.), Krakowie (Pierwsza Wielka Wystawa Sztuki Polskiej, 1887 r.), Warszawie

1888 r. — list pochwalny) i Paryżu (1889 r.), gdzie na Wystawie Międzynarodowej uzyskał medal srebrny za obrazy „Urania” i „Jeszi-both”. Druga z tych prac przedstawiająca młodych talmudystów studiujących w ciemnej, dusznej izbie, wystawiana zarówno w Krakowie, Warszawie, Monachium jak i w Paryżu, zadecydowała o sławie łódzkiego artysty. Również inne jego kompozycje, np. „Uriel Acosta i młodzieńczy Spinoza” oraz „Szkoła talmudystów” zostały bardzo przychylnie przyjęte tak przez krytykę jak i publiczność.

W 1889 r. Hirszenberg rozpoczął studia w paryskiej akademii Filippo Colarossiego, gdzie zgłębił tajniki malarstwa pod kierunkiem Josepha Blanca, Gustave Courtois i Georges Girardota. W Paryżu namalował kilka obrazów o tematyce żydowskiej, między innymi kompozycję „Ester i Haman”. W tym też czasie zapoznał się z techniką impresjonistyczną, którą w późniejszych latach umiejętnie stosował w swoich pracach.

Ze stolicy Francji Hirszenberg wrócił do Monachium, gdzie wkrótce (1891 r.) wziął udział w wystawie międzynarodowej uzyskując za obrazy umieszczone w nowoutworzonym dziale polskim wyróżnienie. Podczas pobytu w tym mieście brał udział w plenerach malarskich, w których uczestniczył również jego przyjaciel z okresu studiów krakowskich Marian Wawrzyniecki.

W końcu 1892 roku artysta powrócił do Łodzi, gdzie zamieszkał na stałe otwierając swoją pracownię w domu Pinkusa przy ulicy Promenadowej 1 (obecnie al. T. Kościuszki). Ważne to miejsce na mapie kulturalnej miasta, tu bowiem na przełomie XIX i XX stulecia mieszkało i pracowało wielu łódzkich artystów.

W tym okresie czasu Hirszenberg nawiązał ściślejszy kontakt z łódzką grupą artystyczną, między innymi z malarzami Leopoldem Pilichowskim i Natanem Altmanem oraz rzeźbiarzem Henrykiem Glicensteinem. Jego dorobek artystyczny powiększa się wówczas o szereg obrazów ukazujących życie fabrycznej Łodzi.

Prace Hirszenberga malowane w ostatniej dekadzie ubiegłego wieku ugruntowują jego pozycję wśród artystów młodego pokolenia, staje się malarzem znanym i coraz wyżej cenionym, zwłaszcza w Łodzi i Warszawie ale także poza granicami Królestwa Polskiego. Twórczość „utalentowanego kolorysty” spotkała się z uznaniem krytyków sztuki a bardzo przychylnie recenzje ukazywały się w prasie codziennej i najpoczytniejszych tygodnikach ilustrowanych („Kłosa”, „Przegląd Tygodniowy”, „Tygodnik Ilustrowany”).

W latach 1892—1897 Hirszenberg corocznie wysyłał swoje prace na wystawy organizowane przez Warszawskie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych. Obrazy jego eksponowane były również w salach łódzkiego Grand Hotelu (1894 r.), na międzynarodowej wystawie Secesji Monachijskiej (1894 r.), na wystawie w Berlinie (1895 r.) i w salonie artystycznym na Polach Elizejskich w Paryżu (1895 r.). Do czołowych jego osiągnięć malarskich z tego okresu należy zaliczyć kompozycje „Płaczki na cmentarzu żydowskim”, „Wygnańcy”, wstrząsający w swej apokaliptycznej wizji „Strzec w lesie krzyży” i „Żyd wieczny tułacz”.

W roku 1895 w konkursie malarskim ITSP w Warszawie Hirszenberg zdobył ex aequo z Olgą Bożońską drugą nagrodę (pierwszej nie przyznano) za scenę rodzajową „Sjesta sobotnia”. W tym samym roku otrzymał również drugą nagrodę w konkursie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie.

W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych artysta niektóre miesiące letnie spędzał w Lisowicach w dawnym powiecie brzezińskim, gdzie w warunkach plenerowych podejmował temat malarstwa pejzażowego, powstały wówczas między innymi szkice z natury „Nad stawem” i „Wzgórze”. W 1898 roku Hirszenberg przebywał w Normandii, zwłaszcza w okolicach Carolles, gdzie inspiracją dla powstałych szkiców był skalisty pejzaż nadmorski („Przyływ morza”, „Wybrzeże morskie”).

Zupełnie inny świat przeżyć artystycznych przyniósł malarzowi wyjazd na południe Europy. Pierwszy pobyt we Włoszech przypadł na lata 1898—1899, po raz drugi wyjechał tam w 1901 roku na zaproszenie przebywającego w Rzymie łódzkiego rzeźbiarza H. Glicensteina. Wyjazdy te zaowocowały wieloma pracami, między innymi pejzażami z okolic Rzymu, Tivoli, Anticollu Corrado, a także scenami rodzajowymi ukazującymi rybaków przy sieciach, praczek itp. W czasie pobytu we Włoszech Hirszenberg utrzymywał liczne kontakty artystyczne, między innymi z malarzami polskimi Edwardem Okuniem i Ignacym Pieńkowskim.

Częste, niekiedy dalekie, podróże artystyczne nie przeszkadzały łódzkiemu twórcy prezentować swoich dzieł na różnego rodzaju wystawach artystycznych. W 1898 roku zaprezentował swoje obrazy na wystawie w Łodzi, a dwa lata później uczynił to na Wystawie Powszechnej w Paryżu, gdzie otrzymał brązowy medal.

W tymże samym 1900 roku zorganizowano w Łodzi, w salonach przy ulicy Piotrkowskiej 31, specjalną wystawę prac Samuela Hirszen-

berga. Eksponowano tu około 30 jego płócien obejmujących twórczość z lat 1892—1900, między innymi wystawiono wówczas, cieszący się dużym uznaniem obraz „Żyd wieczny tułacz” i obraz „Płaczki na cmentarzu żydowskim” (1892 r.), a także wspomniane już szkice z Normandii i Lisowic, płótna „Noc księżycowa”, „Wieczór w Lutomiersku”, „Dafne”, „Idylla” oraz „Pieśń wieczorna”.

Po powrocie z Włoch, w styczniu 1902 roku, Hirszenberg otworzył wystawę indywidualną w Salonie A. Krywulta w Warszawie. Eksponował na niej około 100 swoich prac, w tym 80 pejzaży.

Samuel Hirszenberg był też autorem wielu, malowanych przeważnie na zamówienie, portretów, jak również malowideł dekoracyjnych. Malowaniem dekoracyjnych paneau do wnętrz pałacowych zajmował się między innymi podczas pobytu w Monachium w 1903 roku. W tym samym okresie czasu powstały także cztery obrazy w sali jadalnej rezydencji pałacowej rodziny Poznańskich przy ulicy Ogrodowej w Łodzi (obecnie muzeum Historii Miasta Łodzi).

Pod koniec 1904 roku artysta przeniósł się z Łodzi do Krakowa, gdzie otrzymał pracownię w słynnym Domu Pod Szarotkami przy ulicy Smoleńsk 26. W owym czasie posiadali tu swoje pracownie artystyczne najwybitniejsi krakowscy malarze.

W tym czasie artysta uczestniczył w kolejnych wystawach TPSP, a w grudniu 1905 roku wystawił w lokalu Towarzystwa cykl złożony z 24 obrazów, będący przeglądem jego najnowszych dokonań artystycznych. Ogromne wrażenie wśród publiczności i krytyków sztuki wywarł malowany w Krakowie obraz „Czarny sztandar” ukazujący rozpalony emocjami tłum postaci podążających za trumną okrytą żałobnym całunem, ze spoczywającym na nim „Pięcioksiągiem” możeszowym. Tak szeroki i pozytywny odbiór tego dzieła znalazł niemal natychmiastowe potwierdzenie poprzez wydanie przez Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie pocztówek z widokiem tego płótna.

W okresie „krakowskim” swojej twórczości Hirszenberg namalował szereg obrazów bardzo liczących się w jego dorobku artystycznym. Obok wspomnianego „Czarnego Sztandaru” powstały wówczas między innymi prace „Święto w ghetto” oraz „Akord” (malowane w 1906 r.) ekspozowane na wystawie TZSP w Warszawie, a także szereg pastelowych portretów i pejzaży wykonanych w Rytrze nad Popradem w czasie letnich wyjazdów w 1905 i 1906 roku. Wrócił też Hirszenberg do tema-

tyki z okresu młodzieńczego malując portret Spinozy. Wszystkie te dokonania artystyczne zamykają niejako okres dojrzewania twórcze w kraju podzielonym zaborami.

W lutym 1907 roku Samuel Hirszenberg odniósł duży sukces swoją wystawą indywidualną i wkrótce otrzymał od zarządu kolonii żydowskich w Palestynie propozycję objęcia stanowiska dyrektora Szkoły Sztuk Pięknych Bezalel w Jerozolimie. W połowie tego roku artysta przeniósł się z Krakowa do Jerozolimy, gdzie miał przez okres dwóch lat sprawować funkcję kierownika utworzonej z inicjatywy profesora uniwersytetu berlińskiego Wahrburga uczelni artystyczno-zdobniczej.

W Palestynie, w ostatnim okresie życia artysty powstało wiele pejzaży i szkiców o tematyce arabskiej oraz żydowskiej. Wyjazd Hirszenberga do Jerozolimy miał miejsce w okresie nasilania się ruchu syjonistycznego, mającego na celu utworzenie odrębnego państwa żydowskiego w oparciu o koncepcję „narodu wybranego”, jednakże jego konsekwentna i wieloletnia działalność na rzecz krzewienia narodowej, żydowskiej kultury artystycznej, zmierzającej do zachowania jej bogatych form zabytkowych i stworzenia odrębnego stylu sztuki judaistycznej przerwana została przez niespodziewaną śmierć. Samuel Hirszenberg, po krótkotrwałej chorobie zmarł w Jerozolimie 15 września 1908 roku.

Od połowy listopada do 9 grudnia 1908 roku, a więc już po śmierci artysty, z inicjatywy Towarzystwa Krzewienia Oświaty otwarta była w Łodzi przy ulicy Południowej 3 Wystawa Sztuk Pięknych. Wśród prezentowanych dzieł 57 artystów polskich tej miary jak Julian Fałat, Aleksander Gierymski, Juliusz Kossak, Leon Wyczółkowski, Władysław Podkowiński, znalazły się również prace Samuela Hirszenberga.

Przełom XIX i XX stulecia był momentem zwrotnym dla postępowych ruchów żydowskich. Dwa główne ścierające się ze sobą kierunki — postępowy i skrajnie ortodoksyjny — odcisnęły wyraźne piętno na judaikach, także i tych będących efektem działań twórczych. Jednym z charakterystycznych zjawisk tego okresu był rozwój żydowskiego malarstwa sztalugowego, istniejącego co prawda już wcześniej, ale w wąskim zakresie, ograniczonym w zasadzie do tematów zaczerpniętych ze Starego Testamentu. Nowe tendencje w malarstwie zmierzały do wykorzystania tematów opartych na życiu współczesnym (sceny rodzajowe, pejzaże, malarstwo portretowe) i były dowodem zerwania z dotychczasowymi kanonami artystycznymi, krępującymi swobodę twórczą.

Zdobywcze żydowskiej myśli postępowej w tej dziedzinie pozostawały w ścisłym związku z kierunkami rozwoju sztuki europejskiej, nie mniej twórczość ta nosiła często specyficzny, odrębny charakter. Dotyczy to zwłaszcza malarstwa rodzajowego i portretowego, gdzie wykorzystywano wszystkie charakterystyczne elementy tradycyjnego ubioru i obyczaju żydowskiego (np. w często powtarzanych tematach: „Uczta sederowa”, „Szkoła talmudystów”, „Wieczór sobotni”, „Studiowanie tory”, „Ślub żydowski”, „Wspólna modlitwa”, „Cmentarz żydowski”).

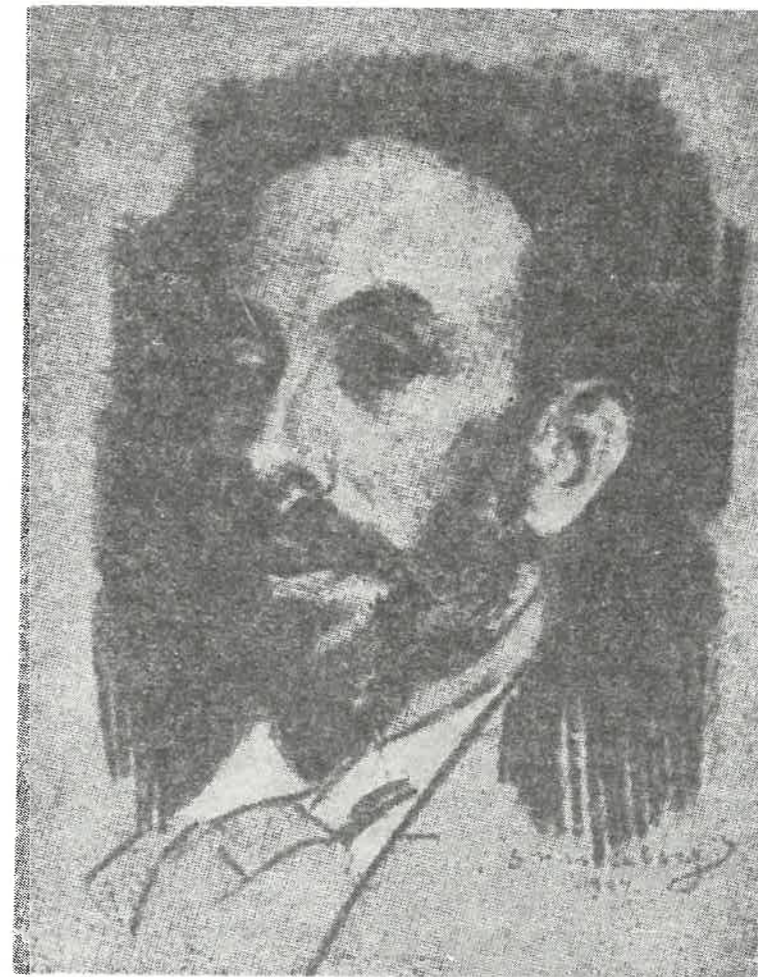
Grupa malarzy żydowskich, do której należał Samuel Hirszenberg, zajmuje w sztuce polskiej własne, niezależne miejsce. Wspólnie z malarzami polskimi wzięła ona udział w tworzeniu narodowej kultury artystycznej, chociaż w twórczości jej członków widać silne wpływy pierwiastka egzotycznego.

Malarstwo Samuela Hirszenberga niewątpliwie należy zaliczyć do kierunku XIX-wiecznego realizmu. Odnosi się to przede wszystkim do początkowego okresu twórczości Hirszenberga, bowiem później poprzez stosowanie różnorodnych form symboliki przechodzi on w

kierunku ekspresjonizmu. Proces ten jednak przebiegał niezbyt konsekwentnie. W tym samym okresie czasu powstały płótna różnorodne stylistycznie i tematycznie, a także przy zachowaniu różnych technik.

Większość prac Hirszenberga, utrzymanych w ciemnej gamie kolorystycznej, cechują wpływy szkoły monachijskiej. Wrażliwość artysty na kolor ujawniają w pełni chociażby jego pejzaże, zwłaszcza te malowane na południu Europy, a także malarstwo dekoracyjne.

Samuel Hirszenberg w całym okresie twórczości artystycznej najwięcej uwagi poświęcał idei uplastycznienia niedoli biedoty żydowskiej. Obrazy jego przepełnione są miłością do narodu, a postacie przepełnione duchem judaizmu. Prace cechuje głęboki smutek a nawet rozpacz, widoczne wyraziście chociażby w obrazach „Emigranci”, „Żyd wieczny tułacz” czy „Wygnańcy”, w których artysta zawarł swoją miłość do narodu żydowskiego, współczucie dla jego samotności i tragicznej doli. Hirszenberg starał się ukazać nastroje współczesnych Żydów, ich tęsknotę za przeszłością i niepewność przyszłych losów.



SAMUEL HIRSZENBERG — AUTOPORTRET

fot. B. Kaczyńska

Ważną w twórczości tego artysty grupę obrazów stanowi cykl płócien o tematyce żydowskiej przedstawiający wielkie sceny symboliczne przeplatane licznymi wątkami filozoficznymi i literackimi. Należą do niej między innymi płótna: „Uriel Acosta i młodzieńczy Spinoza” (1887 r.), „Urania” (1891 r.), wspomniany wyżej „Żyd wieczny tułacz” (l. 1903—1907), „Czarny sztandar” (1905 r.) oraz „Spinoza wyklęty” (1907 r.).

Kolejną grupę obrazów tworzą sceny rodzajowe noszące cechy szkoły monachijskiej. Do najbardziej interesujących należą prace: „Szkoła talmudystów” (1887 r.), „Cmentarz żydowski” (1892 r.), „Konferencyjka” (1893 r.), „Hafciarka” (1893 r.), „Sjesta sobotnia” (przed 1895 r.), „Kłątwa” (około 1903 r.), „Święto w ghetto” (1906 r.), „Pod ścianą płaczu” (1908 r.).

Cykl kompozycji dekoracyjnych reprezentują zachowane w Muzeum Historii Miasta Łodzi obrazy (z 1903 r.) — „Muza”, „Pożegnanie” i „Powrót” — w technice zbliżone do prac postimpresjonistycznych.

Do najwcześniejszych obrazów pejzażowych noszących cechy malarstwa impresjonistycznego należą płótna — „Dama z czerwoną parasolką” (Paryż — 1889 r.) i „Marina Grande” (Włochy — 1901 r.). Włoskie pejzaże z 1901 roku uwidaczniają podporządkowanie techniki impresjonistycznej własnemu spojrzeniu na naturę. Klimat i piękno krajobrazu włoskiego oddają między innymi — „Widok na miasto Anticoli”, „Praczkę z Anticoli”, „Z Villi d'Este”, „Z kampanii rzymskiej”, „Villa Borghese w Rzymie”. Podobne w charakterze są, malowane po powrocie artysty z Włoch, polskie „Widoki z Lisowa” (1903 r.). Kontynuację tego cyklu stanowią pejzaże powstałe w Jerozolimie.

Twórczość Samuela Hirszenberga, tak jak i jego interesująca artystyczna osobowość, mimo, że zasługuje na uznanie, dziś już ulega zapomnieniu. Spowodowane jest to między innymi rozproszeniem znacznej ilości jego prac po całym świecie. Obrazy nie zniszczone podczas II wojny światowej, w okresie powojennym były masowo wykupywane i wywożone za granicę. Tylko nieliczne z nich pozostały w kraju. Znajdują się one między innymi w zbiorach Muzeum Sztuki w Łodzi, w Muzeum Historii Miasta Łodzi, w Muzeum Narodowym w Warszawie i Krakowie oraz w Żydowskim Instytucie Historycznym w Warszawie.

Bibliografia

Obszerny wykaz bibliograficzny zawiera nota biograficzna: J. Sandel, Samuel Hirszenberg, Polski Słownik Biograficzny, t. 9, s. 531-532; ponadto informacje o życiu i twórczości S. Hirszenberga zawierają:

- „Dziennik Łódzki”, nr 178, 1885, s. 2;
- „Dziennik Łódzki”, nr 180, 1885, s. 3;
- „Dziennik Łódzki”, nr 97, 1887, s. 3;
- „Rozwój”, nr 26, 1900, s. 2—3;
- „Rozwój”, nr 53, 1900, s. 2;
- „Rozwój”, nr 82, 1900, s. 3;
- „Rozwój”, nr 87, 1900, s. 1;
- „Rozwój”, nr 92, 1900, s. 1—2;
- „Rozwój”, nr 93, 1900, s. 2;
- Rynkowska A., Ulica Piotrkowska, 1970, s. 176—177;
- „Świat”, nr 39, 1908, s. 12;
- „Świat”, nr 51, 1908, s. 15;
- „Tygodnik Ilustrowany”, nr 3, 1895, s. 69;
- „Tygodnik Ilustrowany”, nr 5, 1908, s. 89;
- „Tygodnik Ilustrowany”, nr 40, 1908, s. 806;
- „Tygodnik Ilustrowany”, nr 4, 1909, ss. 63, 68, 75;
- Zagrodzki I., Tradycja i nowoczesność w twórczości Samuela Hirszenberga, (w:) „Sztuka Łódzka”, 1974, s. 93—96.

*) Niektóre źródła podają jako miejsce urodzenia S. Hirszenberga Łódź (por.: „Tygodnik Ilustrowany” nr 3, 1895); niezgodności biograficzne odnoszą się także do kilku innych faktów z życia artysty, nieistotnych dla powyższego artykułu.

Do Redakcji „Wędrownika”

nadszedł list, który publikujemy z niewielkimi skrótami:

Odpowiadając na zaproszenie Waszej Redakcji przesyłam szereg uwag na podstawie lektury „Wędrownika” z ostatnich kilku lat sędzę więc, że nie są to tylko przypadkowe spostrzeżenia. Zanim jednak przejdę do meritum — parę słów o ogólnej, powszechnej niewiedzy, która przygasiła wielką legendę, a właściwie nie pozwoliła się jej narodzić.

Szczególnie przykrą dla Łodzi sprawą jest bardzo powierzchowna znajomość jej dziejów i problematyki rozwoju nie tylko wśród szerokiego społeczeństwa, lecz także wśród kadry ruchu turystycznego: Liczne publikacje, reportaże, artykuły w pismach geograficznych a nawet wydawnictwa popularno-oświatowe zawierają wiele niedokładności lub wręcz błędnych naświetleń faktów i procesów niezwykłego rozrostu przemysłowego miasta, a także jego historii przedprzemysłowej.

Jakże często spotykamy się z przekonaniem, że Łódź przed narodzinami przemysłu była wioską! Albo: ktoś, ile osób wśród tysięcy potrafi przekonywująco i zasadnie odpowiedzieć, dlaczego właśnie w tej „wiosce” w trzeciej dekadzie XIX wieku zaczął się rodzić wielki przemysł? To co się bardzo często czyta i słyszy o Łodzi w XIX wieku — świadczy o grubym zamęceniu sprawy i niezajomości realiów historycznych. Nie chcemy stawiać wymagań „na wyrost”, jeśli chodzi o przeciętnego obywatela, ale też nie wolno przecież zagubić prawdy o mieście, które nauka nazwała „osobliwością w skali europejskiej” i „fenomenem na mapie społeczno-ekonomicznych struktur wielkomiejskiego świata”.

Jerzy Urbankiewicz twierdzi, że „mnóstwo książek” i prasa „w kółko i na nowo” przypomina wciąż te same, znane z wielu opracowań fakty, ale właśnie w tych przypomnieniach — chcę podkreślić — popełniono wiele grzechów. W każdym razie penetrując zakamarki arcyciekawej przeszłości miasta zagubiono to, czym się stała Łódź w historii Polski.

Zanim to rozwinę na kilku przykładach — parę drobiazków. Tak jak i inne publikacje — „Wędrownik” zbyt często „puszcza” rzeczowe błędy historyczne. I tak:

— nr VI/84 str. 21

— data bitwy pod Dobrą 22.02.1863 zamiast 24.02.1863

— nazwisko rodowe Marii Piotrowiczowej — z Rogalskich zamiast Rogalińskich i rok urodzenia 1842 zamiast 1840,

— nr VI/86 str. 13

— rok założenia w Łodzi przedsiębiorstwa T. Grothmana 1826 — zamiast 1842 (jest to błąd udowodniony na podstawie danych archiwalnych, a który rozpowszechnił się w wielu monografiach i opracowaniach — Ginsberta, Śmiałowskiego, Bandurki i in.).

— „fabryki stają się ogromnymi molochami zatrudniającymi kilka lub kilkanaście tysięcy ludzi” — mamy dokumenty, że największe zakłady Scheiblera w 1900 r. zatrudniały 7784 robotników, więc nie mogły zatrudniać więcej przed 1870 r. jak podaje autor. (...)

Bardziej szkodliwe są artykuły syntetyzujące dzieje i oceniające je w sposób powierzchowny lub fałszywy. Pod tym względem najwięcej zawinił Mariusz Kulesza. I tak:

— nr VI/86 str. 12

— Łódź „w erę uprzemysłowienia wchodziła jako (...) niewielka osada rolnicza”. „... prawa miejskie posiadała od 1423 roku” (...) ale „była bardziej zbliżona do wsi aniżeli zasługiwała na miano miasta”. W odpowiedzi na to należy przytoczyć słowa prof. Ryszarda Rosina, że „dokument z 1423 r. nie zapoczątkował procesu powstawania miasta Łodzi — tylko go zakończył”. I, że istnieje wcześniejszy jeszcze dokument z 1414 r. który dowodzi, iż „już wtedy miało charakter miejski”.

— tytuł „Przemiany miastotwórcze a urbanistyczny rozwój Łodzi (do 1939 r.)” nie ma tematycznego uzasadnienia, ponieważ w tym okresie tylko i jedynie przemysł był siłą miastotwórczą Łodzi, a zniesienie barier celnych w 1850 r., napływ ludności wiejskiej w wyniku uwłaszczenia chłopów w 1863 r., budowa kolei żelaznej w 1866 r. — to czynniki

sprzyjające temu procesowi rozwojowemu, ale nie było tu żadnych „przemian” sił miastotwórczych. Proszę zanalizować znaczenie tego sformułowania. Jeśli chodzi o te okoliczności przyspieszające, to należałoby sięgnąć głębiej i zwrócić uwagę na nowy podział Europy po Kongresie Wiedeńskim i jego wpływ na gospodarkę Królestwa Polskiego oraz na wpływ rewolucji przemysłowej na zachodzie Europy. Temat szeroki — niesłusznie zawężany do granic lokalnych.

— nr III/87 str. 13

— Osiedle Księży Młyn „było to budownictwo kapitalistyczne nastawione na zysk, a nie zaspokojenie elementarnych potrzeb ówczesnych robotników”. Znowu niezajomość realiów historycznych. Budując osiedle robotnicze na Księżym Młynie Scheibler miał na celu związać robotnika z fabryką przez stworzenie mu lepszych warunków mieszkaniowych i zabezpieczenie całego zaplecza socjalnego: szkoła, sklep, ambulatorium. Był to ogromny postęp w porównaniu z warunkami, w jakich znajdowali się inni robotnicy fabryczni! Właśnie ten odcinek działalności Scheiblera nie był nastawiony na zysk bezpośredni. Pisał nawet o tym w „Kurierze Warszawskim” Bolesław Prus. Sprawa więc była głos-

Odznaka „Inwalidy Wojennego” z getta łódzkiego

Wśród wielu odznak wydanych w getcie łódzkim w czasie II wojny światowej na pierwszy plan choćby ze względów humanitarnych wybija się odznaka „Inwalidy Wojennego”. Ze względu na jej wielką rzadkość i atrakcyjność chciałbym przybliżyć ją łódzkiemu społeczeństwu. A oto jej krótki opis:

W górze jakby na wstążce z lewa na prawo literami zmniejszającymi się — napis: INWALIDA WOJENNY. Wstęga z lewej strony wcięta, z prawej strony zakończona skośnie.

na na tle okropnych, trudnych, „nie do zniesienia” warunków mieszkaniowych większości robotników — znanych choćby z opisów dr Sonnenberga.

Można by jeszcze polemizować z innymi wieloma sformułowaniami, jak np. identyczność czynników rozwojowych Łodzi i „coś niektórych” miast amerykańskich. Jest rzeczą dziwną, że Redakcja skorzystała z tego materiału (...) Chyba nie zadziałała tu wspomniana na początku antylegenda pogardzanego miasta? Proponuję szersze rozwinięcie tego tematu — antylegendę Łodzi na podstawie literatury, pamiętnikarstwa, publikacji popularnych, przekazu filmowego i przewodnickiego. Rzecz jest z tych, które „drażą” i niepokoją. (...)

BOGDAN PRZEDECKI

OD REDAKCJI:

Poruszone przez Kol. B. Przeddeckiego tematy wydają się istotne — zapraszamy do dyskusji. Nie mamy — jako czasopismo krajoznawcze — ambicji ani możliwości własnej interpretacji źródeł. Wierzmy naszym Autorom, którzy sięgają do różnych, czasem sprzecznych, źródeł i opracowań. Co do daty bitwy pod Dobrą, pomyłka „umknęła” przy korekcie. Przepraszamy!

W środku fragment ogrodzenia getta z drutów kolczastych, nad nim w ramce poziomo w dwóch wierszach napis: WOHGEBIET (DER JUDEN. Pod tym poziomo w trzech wierszach napis: LITZMANNSTADT (GETTO) 1940. Z prawej strony postać inwalidy (od tyłu) bez prawej od kolana nogi (zamiast niej proteza — kula), ze szczudłem pod prawą ręką. Na plecach po prawej stronie łąta z 6-cio ramienną gwiazdą żydowską. Na głowie czapka typu wojskowego — rogatywka (por. fot.). Na stronie



ODZNAKA INWALIDY WOJENNEGO
— ZE ZBIORÓW MHML fot. B. Kaczyńska

odwrotnej przylutowana mosiężna śrubka średnicy 3 mm oraz ręcznie wygrawerowany numer: 140 (pochylony w prawą stronę). Odznaka okrągła, nieco wypukła, o średnicy 22,8 mm ze srebrnej blachy, być może z rozwalcowanej polskiej srebrnej monety. Wszystkie detale wypukłe — odznaka sztancowana. Wykonana prawdopodobnie w firmie Zjednoczeni Grawerzy mieszczącej się w łódzkim getcie przy ul. Brzezińskiej 2. Jak już wspomniałem odznaka bardzo rzadka znana na terenie Łodzi tylko w dwóch egzemplarzach: w Dziale Numizmatycznym Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego oraz u znanego kolekcjonera wojskowych odznaczeń.

Intryguje sam drukowanymi literami napis: INWALIDA WOJENNY, lecz nie tylko ze względu na błąd w nim się znajdujący (pierwsza litera wyrazu — INWALIDA zamiast litery „I” posiada drukowane „J” — JNWALIDA) lecz to, że cały napis: JNWALIDA WOJENNY jest w języku polskim, w odróżnieniu od pozostałych odznak, które posiadają napisy w języku niemieckim. W początkowej jednak fazie, nawet na ziemiach polskich włączonych do Rzeszy było to do przyjęcia. Zarówno sam polski napis jak i postać Żyda — inwalidy w mundurze wojskowym i czapką typu wojskowego — polską rogatywką (tak sugestywnie przedstawioną przez żydowskiego grawera wykonującego odznakę) sugerują, że jest to inwalida wojenny uczestniczący w kampanii wrześniowej 1939 r. Wiadomo bowiem, że w kampanii tej, w szeregach wojska polskiego brało udział w walkach z Niemcami około

120.000 Polaków żydowskiego pochodzenia, z czego 32.216 żołnierzy i oficerów zginęło a 61.000 dostało się do niewoli niemieckiej — co również równało się prawie śmierci¹⁾. W związku z powyższym nasuwają się dwa pytania, na które trzeba znaleźć odpowiedź.

1. Czy faktycznie jest to odznaka inwalidy wojennego z kampanii wrześniowej 1939 roku?
2. W jakim celu została ona wydana i po co ją noszono?

Dzisiaj po upływie prawie 49 lat trudno znaleźć definitywną odpowiedź. Moje rozmowy z ludźmi, którym udało się przeżyć piekło getta nie dały konkretnego rezultatu. Owszem coś tam o tym słyszeli ale jak było naprawdę to nie wiedzieli. Pozostały tylko nieliczne publikacje na ten temat, które może nie na same konkretne pytania ale ogólnie nasuwają odpowiedź na w/w wątpliwości. Otóż w Berlinie na tajnej konferencji odbytej 20 stycznia 1942 r. w RSHA (Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy), poświęconej omówieniu planu całkowitej zagłady Żydów w Europie²⁾ znajdują się takie interesujące nas zdania: ... Żydzi w wieku 65 lat nie mają być ewakuowani, lecz przetransportowani do getta dla starców, na którego przewidziany jest Teresin (Czechosłowacja). Obok tych roczników — a w Rzeszy i Marchii Wschodniej około 30% spośród 280.000 Żydów zamieszkałych tam w dniu 31.X.1941 r. liczy ponad 65 lat — zostaną umieszczeni w żydowskich gettach dla starców **ciężko poszkodowani żydowscy inwalidzi wojenni** (podkreślenie moje) oraz Żydzi odznaczeni orderami wojennymi (Żelazny Krzyż I kl.). Tego rodzaju należyte rozwiązanie pozwoli uniknąć za jednym zamachem licznych interpretacji...

Kronika Getta Łódzkiego³⁾ w notatce z dnia 6 maja 1942 r. podaje, że zwolnieni od deportacji są m.in. osoby odznaczone Krzyżami Żelaznymi I i II stopnia, osoby odznaczone za rany (uwzględnienie to dotyczy również i kombatantów b. austriackiej armii). Przy powyższych kategoriach uwzględnia się nawet kilku członków rodziny... Natomiast w odnośniku nr 134 zaznaczono, że chodzi tu o odznaczenia z I wojny światowej. W teście Kronice⁴⁾ podano jeszcze raz, że 16 maja 1942 r. wezwano odznaczonych krzyżami żelaznymi, jak i za rany odniesione podczas wielkiej wojny w armii niemieckiej czy też austriackiej (których zarejestrowanych w getcie i posiadających odpowiednie dokumenty jest 289) na Bałucki Rynek gdzie przedstawiciele tajnej policji (gestapo) sprawdzili ich udokumentowanie z posiadanych odznaczeń. Widocznie chodziło o to, żeby stwierdzić, czy czasem ktoś nie

uchronił się przed wysiedleniem nieprawnie z tytułu tego przywileju.

A więc z grubsza mamy już odpowiedź na nurtujące nas pytania. Znając stosunek hitlerowców do Żydów i metody postępowania z nimi, nie do pomyslenia byłby fakt dawania Żydom jakichkolwiek przywilejów i to jeszcze inwalidom wojennym, którzy jako Polacy walczyli przeciwko nim. Byłoby to do przyjęcia jedynie tylko w tym przypadku, gdyby ci inwalidzi wojenni — Żydzi, nabyli swe prawa inwalidzkie walcząc w czasie I wojny światowej w armii niemieckiej lub austriackiej. Dlatego też (z pewnością na zarządzenie — zezwolenie władz niemieckich) została wydana w getcie łódzkim specjalna odznaka „Inwalidy Wojennego”, która dawała (do pewnego czasu) pewne przywileje zarówno dla samego inwalidy jak i dla jego rodziny w postaci: zwolnienia od deportacji a z pewnością też i innych, może np. kupowanie w sklepach bez kolejki, ochrona przed łapankami do prac przymusowych itp. Być może, że znajdą się jeszcze do-

kumenty, które rzucają więcej światła na tę sprawę.

Dzisiaj jest to już tylko cenna i rzadka pamiątka tamtych strasznych czasów i jeszcze jeden przyczynek do martyrologii Żydów pod hitlerowską okupacją.

Przypisy:

- 1) por. „Ten jest z ojczyzny mojej” — Polacy z pomocą Żydom 1939—1945. Opracowali Władysław Bartoszewski i Zofia Lewinówna. Wyd. ZNAK Kraków 1969, str. 8 i 9.
- 2) Tamże str. 894—897.
- 3) Kronika Getta Łódzkiego, tom I. Styczeń 1941 — maj 1942. Wyd. Łódzkie 1965. Biuletyn Nr 26, środa 6 maja 1942, str. 507.
- 4) Tamże — Biuletyn Nr 33, sobota 16 maja 1942 r., str. 559—560.

STANISŁAW BULKIEWICZ

Trasa dla Ciebie

PRZEZ WYSOCZYZNĘ RAWSKĄ OD KROSNOWEJ DO BIAŁYNINA

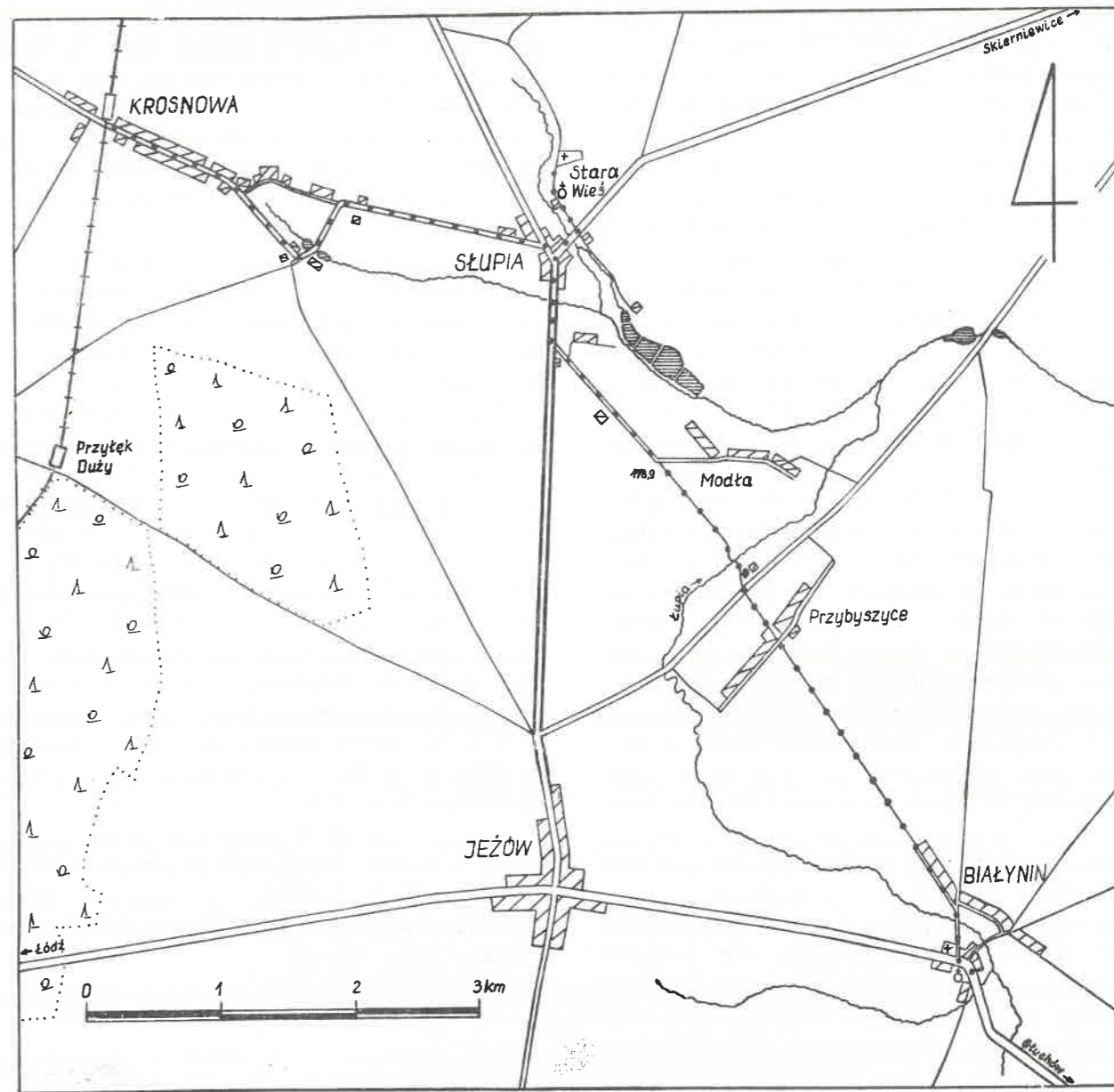
Inspiracją zaprojektowania przebiegu i przejścia tej trasy były artykuły w naszym Biuletynie: St. Tarnowskiego „W Białyninie” (nr I/1978) i Zbigniewa Cieklińskiego „Jeszcze o Białyninie” (nr I/1980).

Trasa prowadzi północno-wschodnią częścią Wysoczyzny Rawskiej. Na trasie zabytki Słupia i portal w Białyninie, który jest tematem wymienionych artykułów. Zdjęcie tego portalu, wykonane przez Kol. Stanisława Tarnowskiego, zamieszczone było w numerze I/1980.

Przebieg ok. 12 km trasy jest następujący: KROSNOWA (PKP) — Słupia — Przybyszyce — BIAŁYNIN (PKS).

Z przystanku PKP Krosnowa na linii Kolaszki — Skierniewice kierujemy się drogą przez wieś w kierunku wschodnim. Mijamy piękną lipę o obwodzie 3,3 m (mierzona w 1988 r.) rosnącą przy budynku nr 27 i dalej murowany krzyż z 1931 r. Po minięciu zabu-

dowań wsi teren zaczyna być urozmaicany wzniesieniami rozciągającymi się po obu stronach drogi. Dochodzimy do skrzyżowania drogi w lewo. Tutaj znajdował się dawny folwark położony w dolinie dopływu rzeki Łupi. Na wprost skrzyżowania drogi — wejście na teren zabudowań folwarcznych pochodzących z początku XX wieku. W głębi widoczny murowany dwór, którego bryłę można obejrzeć od północnej strony stawu przylegającego do drogi, oraz pozostałości parku z ładnymi drzewami. Po prawej za ogrodzeniem, ładny budynek położony na wzgórzu, u podnóża którego rosną dwie grube wierzby. Za zakrętem drogi, przy murowanym mostku, rośnie potężna, zniszczona topola o obwodzie 8,5 m (1988). Pień drzewa nie jest gładki, pokryty jest narostami i sprawia wrażenie jakiegoś dziwnego stwora. Po obu stronach drogi są stawy utworzone przez dopływ Łupi, którego źródła znajdują się na łące po lewej stronie drogi. Nad stawem, po prawej stronie drogi wśród starych drzew, stara murowana kapliczka.



TRASA DLA CIEBIE

Następny odcinek trasy prowadzi drogą wznoszącą się w terenie wśród rosnących po obu jej stronach drzew. Na wzniesieniu droga skręca w prawo i biegnie rozległym wzgórzem z widokiem na dolinę dopływu Łupi i budynek dworski wśród parkowanych drzew.

Dochodzimy do rozległej wsi SŁUPIA położonej w dolinie dopływów Łupi, wśród rozciągających się wokół wzniesień. Pierwsza wzmianka o Słupia pochodzi z 1242 r. Przy murowanej kapliczce skręcamy w prawo i dochodzimy do rozwidlenia dróg i skręcamy w lewo na drogę prowadzącą do Skierniewic. Za mostem na dopływie Łupi dochodzimy do kapliczki z 1904 r. i drogi, na którą skręcamy w lewo. Znajdujemy się na terenie Starej Wsi Słupia. Mijamy po prawej kapliczkę z 1922 r. i dochodzimy do kościoła. Został on wzniesio-

ny w 1763 r. na miejscu dawnego spalonego. Jest drewniany, konstrukcji zrębowej, oszalowany. Nawa prostokątna, dachy dwuspadowe, nad nawą wieżyczka na sygnaturkę. Ołtarz główny późnobarokowy, dwa ołtarze boczne barokowo-klasycyzm. Dwa okna witrażowe z 1896 r. X. Żuchowskiego. Drewniana dzwonnica konstrukcji słupowej z przełomu XVIII/XIX w.

Drogą koło kościoła, po minięciu kapliczki z 1904 r. dochodzimy na cmentarz. Znajduje się tutaj pomnik z orłem w koronie i płytą z napisem: „Poległym w obronie ojczyzny”. Jest to mogiła zbiorowa żołnierzy Wojska Polskiego, poległych w bitwie pod Jezowem i Słupią dnia 9 września 1939 r. Pochowano tutaj 19 nieznanymi żołnierzy, dwóch żołnierzy z podanymi nazwiskami. Obok pomnika znajdu-

ją się dwie płyty nagrobne z zatartymi napisami — żołnierza Armii Krajowej zamordowanego w 1944 r. i żołnierza poległego w 1939 r.

Z cmentarza wracamy do rozwidlenia dróg, kierujemy się szosą w kierunku Jeżowa. Szosa przecina dopływ Łupi, za którym pnie się w górę. Po lewej widok na duże stawy. Na kulminacji szosy po prawej murowana kapliczka z 1893 r. Tutaj skręcamy w lewo na utwardzoną drogę. Po lewej otwiera się szerszy widok na stawy położone wśród wzgórz, z których niektóre porośnięte są lasami. Droga zaczyna wznosić się na rozległe wzniesienie. Idziemy przez wzgórza, skąd roztaczają się widoki na kościół w Jeżowie i na okoliczne pagórki. Taki urozmaicony krajobraz będzie nam towarzyszył do Białynina. Znajdujemy się bowiem w strefie wzniesień północno-wschodniej części Wysoczyzny Rawskiej. Ku północy spływa Łupia i jej dopływy. Na południe teren opada ku dolinie Łupi płynącej tutaj wśród rozciągającego się pasma lasu. Osiągamy następne wzniesienie (178,9 m n.p.m.) z krzyżem. Utworzona droga skręca w lewo do Modłej. My idziemy dalej prosto polną drogą w kierunku lasu. Po odejściu do niego droga staje się ścieżką — skręca w prawo i biegnie dalej przez las. Po chwili dochodzimy do kładki na rzece. Za rzeką staw i wznoszący się nad nim budynek na tle lasu oraz prowadząca obok na duże wzniesienie polna droga. Malowniczość tego zakątka jest wyjątkowa. Na szczycie wzniesienia murowany krzyż z 1938 r. i przecinająca asfaltowa droga. Idziemy dalej prosto polną drogą. Docieramy do wsi PRZYBY-

SZYCE i murowanego krzyża z 1918 r. Tutaj przecinamy następną asfaltową drogę prowadzącą przez wieś. Utrzymując ten sam kierunek marszu pokonujemy dwa następne wzniesienia i dwa garby, schodzimy do wsi Stary Białynin. Obok cmentarza dochodzimy do szosy biegnącej przez wieś BIAŁYNIN i przystanku PKS.

Wieś znana od 1359 r. należała do dóbr arcybiskupich i wraz z sąsiednim Głuchowem znajdowała się w granicach księstwa łowickiego; aż dotąd sięgają książackie, łowickie stroje ludowe.

Na miejscowym cmentarzu znajduje się drewniana kaplica o konstrukcji zrębowej, na rzucie prostokąta, zamknięta wielobocznie. Pochodzi z początków XIX w. Najciekawszym elementem są odrzwia z przepięknym portalem — cennym dziełem gotyckiej rzeźby architektonicznej. Portal ma ostrosłupowy kształt, w prostokątnym nowym obramowaniu. Zwieńczony jest manswerkiem (w architekturze gotyckiej motyw dekoracyjny) o motywie stylizowanych głów zwierzęcych. Portal pochodzi z XVI w., został przeniesiony z rozebranego w 1904 r. drewnianego kościoła parafialnego zbudowanego w 1524 r.

Obecny kościół w Białyninie został wzniesiony w latach 1908—1919 na miejscu drewnianego. Obok kościoła, na zakręcie szosy drewniany krzyż z 1864 r. We wsi sklep i przystanek PKS.

ZBIGNIEW PARAFINOWICZ

Informacja na temat Łódzkiego Oddziału Biura Turystyki Zagranicznej PTTK

W mozaice nazw kilkudziesięciu biur turystycznych funkcjonujących w Łodzi pojawiła się jeszcze jedna: Biuro Turystyki Zagranicznej Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego — Oddział w Łodzi.

W ostatnich latach powstało w Polsce wiele nowych jednostek gospodarczych zajmujących się turystyką — szczególnie prywatnych, spółdzielczych i firmowanych przez organiza-

cje społeczne. Są jednak powody, aby zwrócić większą uwagę na powstały w b.r. Łódzki Oddział BTZ PTTK. Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze istnieje od 39 lat, ale jego źródła sięgają nastarszej na ziemiach polskich organizacji turystycznej — Towarzystwa Tatrzańskiego utworzonego 115 lat temu.

Biuro Turystyki Zagranicznej PTTK obchodziło w 1988 r. okrągły jubileusz 30-lecia

istnienia. Jest obecnie potentatem w zakresie organizacji wyjazdów zagranicznych. W 1987 r. za pośrednictwem BTZ PTTK wyjechało na imprezy zagraniczne 280 tysięcy osób. Grupy wycieczkowe BTZ PTTK odwiedzają 13 krajów Europy, oraz niektóre państwa Azji i Afryki. Specjalnością BTZ PTTK i jego wyróżnikiem spośród innych biur podróży jest pomoc grupom turystów organizującym samodzielne wyjazdy z własnym programem (tramping). Tego typu imprezy mogą być organizowane do wszystkich zakątków świata. Podstawową ofertę Biura stanowią letnie wyjazdy związane z pobytem nad Morzem Czarnym i Śródziemnym. Najwięcej osób wyjeżdża na campingi do Bułgarii, Turcji, Grecji i Jugosławii korzystając z własnego środka transportu. Dzięki temu wymienione wyjazdy należą do najtańszych form wypoczynku. Dla bardziej wymagających klientów Biuro oferuje wyjazdy samolotem z noclegami w hotelach i zagwarantowanymżywieniem m.in. do Bułgarii, Turcji, Grecji, Egiptu, Indii, Tajlandii, a ostatnio — po kilkuletniej przerwie — również do ZSRR.

BTZ PTTK prowadzi swoją działalność usługową przy pomocy 10 jednostek terenowych (Oddziałów BTZ) oraz około 200 punktów sprzedaży w Biurach Obsługi Ruchu Turystycznego PTTK.

Region łódzki — stanowiący chłonny rynek usług turystycznych — obsługują tylko trzy punkty sprzedaży (BORT-y PTTK w Łodzi, Zgierzu i Pabianicach), które od niedawna zaopatrywane były w imprezy do sprzedaży w Oddziale Warszawskim BTZ. Utworzenie w Łodzi Oddziału BTZ (który obsługuje również punkty sprzedaży w woj. piotrkowskim i sieradzkim) wprawdzie nie daje bezpośrednio

wzrostu liczby punktów sprzedaży w naszym regionie, ale powoduje lepsze dostosowanie oferty usług dla potrzeb odbiorców. Dla poparcia tego stwierdzenia można dodać nieco konkretów.

Rozdział miejsc do sprzedaży dla poszczególnych BORT-ów jest prowadzony w Oddziale BTZ, a więc obecnie bezpośrednio w Łodzi. Ułatwia to i przyspiesza przekazywanie większej puli „towaru” do tego punktu sprzedaży, w którym jest większy popyt na daną formę wyjazdu. Rozliczenie zrealizowanych imprez również następuje w Oddziale BTZ. To z kolei powoduje, że klient nie musi już jeździć do Warszawy z ewentualną reklamacją czy odwołaniem. Największe korzyści z istnienia Oddziału BTZ w Łodzi będą mieli turyści samodzielnie organizujący sobie wyjazdy — tzw. tramping. Dotyczy to przede wszystkim grup turystów z PTTK, ale nie tylko. Każda grupa osób pragnąca zorganizować wyjazd we własnym zakresie i legitymująca się odp. zezwoleniem lub zaproszeniem może zgłosić się do Oddziału BTZ PTTK w Łodzi przy ul. Wigury 12a (tel. 36-36-07) i uzyskać pomoc w zorganizowaniu podróży.

Oddział BTZ PTTK w Łodzi dysponuje niewielkim lokalem i nie wa warunków do uruchomienia punktu obsługi klientów. Ponieważ obecnie sprzedaż usług zagranicznych PTTK odbywa się w Łodzi tylko w jednym punkcie (przy ul. Piotrkowskiej 70) planuje się zorganizowanie przynajmniej jeszcze jednego biura obsługi turystów zagranicznych w najbliższym 1989 r.

PRZEMYSŁAW JĘDRASKI

VII Tydzień Gór — Łemkowie

W dniach 15—21 maja 1989 r. odbył się kolejny — już siódmy — Tydzień Gór. Szerokie grono organizatorów tworzyli: Zakład Geografii Miast i Turyzmu Uniwersytetu Łódzkiego, Zarząd Wojewódzki PTTK w Łodzi, Oddział Akademicki PTTK w Łodzi oraz Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich.

Fakt, że impreza w ogóle się odbyła to zasługa grona przewodników łódzkiego SKPB

oraz pracowników biura Oddziału Akademickiego PTTK, którzy przyjęli na swoje barki ciężar organizacyjny tegorocznego „Tygodnia Gór”. Nie sposób nie wspomnieć w tym miejscu o dużym wkładzie pracy w przygotowanie imprezy Kol. Kol. Tadeusza Kiełbasińskiego i Zdzisława Hibszer. Ich zaangażowanie i fachowość sprawiły, że „VII Tydzień Gór” był imprezą ciekawszą i lepiej przygotowaną.



AUTOR WYSTAWY „VII TYGODNIA GÓR” T. KIELBASIŃSKI (z prawej)
Z K. HEMPLEM

Tegoroczny „Tydzień Gór” poświęcony był Łemkom i Łemkowszczyźnie — odbył się w dwóch częściach. Przez pierwsze trzy dni miały miejsce prelekcje wygłoszone w Łodzi przez zaproszonych gości. Jako pierwszy wystąpił dr Antoni Kroh (etnograf, literat, tłumacz, twórca wystawy „Łemkowie”, która miała miejsce w sądeckiej d. synagodze w 1984 roku), który wygłosił referat „Zarys historii Łemków w XX w. — podstawowe fakty”. Po nim Piotr Trochanowski (Łemko zamieszkały w Krynicy, kierownik literacki ZPiT „Łemkowna”, poeta łemkowski ps. Petro Murianka) przedstawił historię literatury łemkowskiej. Drugiego dnia A. Kroh i P. Trochanowski mówili n.t. „Akcja W — problem wciąż palący i aktualny”. Następnie Piotr Trochanowski przybliżył współczesną poezję łemkowską ze szczególnym uwzględnieniem własnej twórczości. Na zakończenie tego dnia mgr Tadeusz Łopkiewicz (etnograf, pracownik Biura Badań i Dokumentacji Zabytków w Krośnie) wygłosił prelekcję nt. „Rzeźba kamienna w Beskidzie Niskim”. Trzeciego dnia Tadeusz Andrzej Olszański (autor wielu artykułów w wydawnictwach warszawskiego SKPB „Magury” i „Połoniny”) wygłosił prelekcję n.t. „Drogi tożsamości Łemków”. Na zakończenie łódzkiej części „VII Tygodnia Gór” Adam Kulewski (przewodnik beskidzki, działacz turystyczny, pracownik Instytutu Turystyki) opowiadał o swojej wędrówce po Gorganach i Paśmie Świdowca, którą odbył z grupą przewodników war-

szawskiego SKPB latem 1988 r. Bogaty zestaw przezroczy pozwolił bliżej poznać góry, które tak wielu z nas chciałoby zobaczyć.

Wystąpienie A. Kulewskiego zamykające łódzką część „VII Tygodnia Gór” było zapowiedzią tematyki przyszłorocznej imprezy. Intencją organizatorów jest by w przyszłych latach zająć się tematyką związaną z górami leżącymi w Karpatach Wschodnich.

W trakcie trwania sesji łódzkiej jej uczestnicy mieli możliwość obejrzenia wystawy prezentującej stroje ludowe, modele cerkwi, zdjęcia oraz bogaty zestaw wydawnictw poświęconych Łemkom i Łemkowszczyźnie. Autorem wystawy był Tadeusz Kielbasiński, który na czas „VII Tygodnia Gór” udostępnił swoje bogate zbiory łemkowskie.

Organizatorzy zorganizowali ponadto kiermasz wydawnictwa górskich, które sprowadzono specjalnie na „Tydzień Gór” do Łodzi z Warszawy i Wrocławia. Kilka pozycji rozeszło się natychmiast. Po „Magura 88”, „Połoniny 88” oraz mapę Pogórza Przemyskiego organizatorzy wysłali kuriera po raz drugi do Warszawy.

Łódzka część „VII Tygodnia Gór” odbywała się w pałacyku PTTK przy ulicy Wigury 12. Warto odnotować, że była to pierwsza impreza w tym obiekcie, która odbyła się tydzień przed jego oficjalnym otwarciem.

Druga część imprezy odbyła się w Beskidzie Niskim w dniach 18—21 maja br. Jej uczestnicy zapoznali się z kulturą materialną



SESJA ZGROMADZIŁA W PAŁACYKU PTTK LICZNE GRONO SYMPATYKÓW GÓR

Łemków. Jedna grupa — pod wodzą Tadeusza Łopatkiewicza i niżej podpisanego zwiedziła Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku, Muzeum Regionalnej Kultury Łemkowskiej w Zydranowej, Muzeum w Bartnem oraz kilkanaście cerkwi łemkowskich (m.in. w Komańczy, Krempnej, Kwiatoniu, Hańczowej). Dla uczestników tej grupy mgr Alojzy Cabała (historyk sztuki) wygłosił prelekcję n.t. „Kultura artystyczna Wschodu Chrześcijańskiego”. Druga grupa prowadzona przez przewodników z SKPB — Agatę Jaroszczak i Tomasza Tokarskiego poznała Magurę Wątkowską i Małastowską oraz zwiedziła Muzeum w Bartnem i cerkwie w Gładyszowie, Kwiatoniu, Hańczowej. Trzecia grupa uczestników wędrowała przez sześć dni (21—26.05) pod wodzą przewodników beskidzkich Adama Sokala i Marcina Kowalczyka po słowackiej Łemkowszczyźnie. Zakończenie części wyjazdowej od-

było się 20 maja wieczorem przy ognisku, które zapalono na terenie letniej bazy namiotowej w Wysowej.

Tegoroczny „Tydzień Gór” pokazał, że impreza ta ma wciąż liczne grono uczestników oraz, że nie brakuje tematów jeszcze przez kilka lat. Oby tylko miał ją kto organizować.

JERZY ŚWIERCZYŃSKI

P.S.

Na „VII Łemkowskiej Watrze”, która odbyła się w dniach 21—23.07.89 ukazał się pierwszy numer „Beskidy” — pisma wydawanego przez Zarząd Główny Stowarzyszenia Łemków. Znajduje się w nim m.in. artykuł pióra Piotra Trochanowskiego obszernie opisujący „VII Tydzień Gór”.

